

Ignacy Loyola, *Autobiografia czyli Opowieść Pielgrzyma*

Przedmowa

Gdy na żądanie Vaticanum II reformowano modlitwy brewiarzowe i gdy w ramach tej reformy podjęto zagadnienie brewiarzowych czytań, nowego i lepiej zarysowanego wymiaru nabrał dawny postulat: miast wiele mówić o świętych, zniekształcając ich sylwetki lub powtarzając hagiograficzne loci communes, pozwólmy, aby do nas przemawiali oni sami. Oddajmy głos świętym, którzy bez modyfikującego pośrednictwa mogą zaświadczyć o swych walkach i zwycięstwach, o przeżywanych nocach i zalewających ich umysły światłach, o doznawanych łaskach i trudach, pośród których z nimi współpracowali. Stąd w nowym breviarium Paulinum, nazwanym Liturgia horarum, znalazło się tyle tekstów wyjętych z pism tych, których w liturgii czcimy i wspominamy jako orędowników.

Książeczka, którą proponujemy Czytelnikom, ożywiona jest podobnymi intencjami.

Niech Ignacy przemówi do nas sam, niejako bezpośrednio. Niech powtórzy to, co przynaglany przez towarzyszków i synów duchownych, podyktował ojcu Ludwikowi Gonsalvesowi da Cámara. Łatwiej można wtedy uchylić rąbka bogatej szaty, w którą spowili go hagiografowie, spojrzeć w głębię jego osobowości, dojrzeć i wczuć się w tajemnicę jego świętości.

Mimo to, osadzenie wznowionej Autobiografii w czasie i przestrzeni wydaje się konieczne. Wszak Fioretti św. Franciszka z Asyżu także zazwyczaj poprzedzano wprowadzeniami i dość obszernie objaśniano. Dla Czytelnika, o kilka stuleci oddalonego od czasu, w którym powstały, było to niewątpliwie potrzebne.

Ograniczamy się jednak do informacji zwięzłych, podanych na sposób stosowany w encyklopediach.

Nieco miejsca poświęcimy także ogólnemu zarysowi ignacjańskiej duchowości, przy czym idziemy tu za syntetycznym ujęciem, które zawdzięczamy jej wybitnym znawcom, G. Dumaige i G. Cusson.

Z okazji niedawnego jubileuszu 500-lecia urodzin wypada kilka słów poświęcić znaczeniu i kultowi św. Ignacego, w tym także tej czci, która wyraziła się w sztukach pięknych. Zarys kończymy postulatem, który być może podejmie ktoś z młodych. Młodym też przede wszystkim dedykujemy te stronicę.

WSTĘP

Życie i działalność

Początkowo używał imienia Iñigo, które otrzymał na chrzcie św. i które było imieniem świętego opata z Oña (XI w.). Potem zaczął się posługiwać imieniem biskupa Antiochii – męczennika, do którego żywił cześć. W końcu, „by być bardziej uniwersalnym”, porzucił na tym ostatnim i pod nim też przeszedł do historii.

Był ostatnim z trzynastu synów Beltráma Yañeza de Oñaz y Loyola oraz Mariny Saenz de Licona y Balda. Urodził się w rodzinnym zamku Loyolów, w baskijskiej prowincji Guipúzcoa, w r. 1491, w czasie gdy ojciec walczył pod murami Grenady, tym ostatnim bastionem maurytańskiego panowania na Półwyspie Iberyjskim. W rodzinnym zamku spędził dzieciństwo.

Przebywał tam może do r. 1506. Wcześniej w każdym razie dostał się na dwór Juana Velazqueza de Cuéllar, który przez długi czas zarządzał finansami królów katolickich. Po większej części przebywał w Arévalo, ale jako paź podróżował też zapewne z dworem swego pana i dzięki temu otała się o takie miasta jak Segowia, Medina del Campo, Valladolid, Madryt, Avila, Tordesillas, Guadalajara. Gdy Velazquez de Cuéllar zmarł (1517), przeszedł na służbę Antoniego Manrique de Lara, księcia Najery, który co dopiero mianowany został wicekrólem Nawarry.

Jako „człowiek księcia” bronił potem cytadeli w Pampelunie, obleganej przez Francuzów. Pocisk z ich działa zranił mu poważnie nogi, przy czym prawa uległa złamaniu. Złożono mu ją źle, na skutek czego miał już na nią do końca życia utykać. Przeniesiono go wtedy do rodzinnego zamku. Rekonwalescencja przedłużała się nieznośnie, wobec czego, żeby zabić czymś czas, zażądał lektury. Magdalena de Araoz, jego bratowa, która się nim opiekowała, przyniosła mu wówczas *Vita Christi* Ludolfa Kartusza oraz *Złotą Legendę*.

Do wiary był niewątpliwie przywiązany. Miał nawet nabożeństwo do Matki Najśw. oraz do św. Piotra. Wszystko to jednak nie miało zbyt wielkiego wpływu na jego dotychczasowe życie. Wedle późniejszych wyznań żył lekkomyślnie i swobodnie. Lekko traktował w szczególności takie sprawy jak gry, dysputy, swoje rycerskie rzemiosło, kobiety. Teraz, skazany na przymusową lekturę, zaczął się zastanawiać. Pociągał go przykład świętych. Wczuwał się w ich położenie. Wyobrażał sobie, jakby to było, gdyby był jednym z nich, skazanym na trudy i przeciwności. Przy tej okazji uczył się rozeznawać myśli „światowe”, które wprowadzały go w zamieszanie i niepokój oraz uczucia dobre, dzięki którym doznawał wewnętrznego uciszenia i pociechy, a rzeczy na pozór trudne wydawały się lekkimi. Zdecydował w końcu, że podejmie pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a życie swe poświęci pokucie. Utwierdzony wizją Najśw. Panny oraz faktem dość nagłego wyzdrowienia, które przypisywał wstawiennictwu św. Piotra, pożegnał więc swoich i wyruszył w drogę.

Przybywszy do opactwa w Montserracie, poszedł pokłonić się Matce Najśw. i idąc za ówczesnym zwyczajem, całą noc spędził na modlitwie przed Jej obrazem. Ofiarował Jej wówczas cały swój rycerski rynsztunek. Potem szedł do Manresy. Kierował się już wówczas wewnętrznymi natchnieniami i zapewne dlatego spędził tam aż jedenaście miesięcy. W ciągu tego okresu przeżył wiele. Doznawał więc rozmaitych oświeceń, ale nawiedzały go też skrupuły, niepokoje i pokusy. Pośród ucisków i światła uczył się głębokiego życia wewnętrznego, całej tej umiejętności świętych – *scientia sanctorum*, którą zamknął w nieocenionej książeczce *Ćwiczeń duchownych*. Tam też pośród mistycznych przeżyć odnajdywał w zarodku swoje życiowe powołanie: współpracować z innymi i służyć Chrystusowi.

W r. 1523 dotarł do Rzymu, stamtąd zaś poprzez Wenecję do Ziemi Świętej. Gdy legat papieski zabronił mu pozostania w Jerozolimie na stałe, pod wpływem wewnętrznego oświecenia zdecydował się na powrót, aby do swej przyszłej roli przygotować się przez studia. Rozpoczął je w Barcelonie, na *Estudio general*, gdzie w trzydziestym roku życia zaczął uczyć się łaciny. Potem w Alkali i w Salamance studiował filozofię oraz nauki humanistyczne (1526–1527).

Nie były te studia zbyt systematyczne; nie sposobiał do tego ówczesny sposób nauczania na uniwersytetach hiszpańskich. Íñigo oddawał się przy tym surowym praktykom pokutnym i wiele czasu poświęcał modlitwie. Wokół siebie gromadził ponadto mężczyzn i niewiasty, które pouczał i którym pragnął udzielić coś ze swej gorliwości. Na skutek tej ostatniej działalności naraził się nawet na podejrzenia władz kościelnych. O to nie było wtedy trudno, bo były one wówczas w Hiszpanii bardzo uwrażliwione na wszelkie nowinkarstwo. W Salamance i w Alkali został nawet

uwięziony i kilkanaście dni przesiedział w karcerach. Oczyszczono go z jakichkolwiek zarzutów, ale zakazano mu nauczania póty, póki nie ukończy studium teologii. W tej sytuacji zdecydował się na krok radykalny.

Na dalsze studia w lutym 1528 r. przybył do Paryża. Zetknął się tam ze współstudiumjącymi, którzy staną się towarzyszami jego dalszej drogi: z Piotrem Favre, Franciszkiem Ksawerym, Jakubem Laynezem, Alfonsem Salmeronem, Mikołajem Bobadillą, Szymonem Rodriguezem. Wszyscy oni na Wniebowzięcie 1534 r. udali się na Montmartre i tam ślubem zobowiązali się do zachowania ubóstwa oraz do odbycia pielgrzymki do Ziemi Świętej. Zastanawiali się też nad tym, jakby najlepiej spożytkować życie przez usługiwanie duszom. W roku następnym przystali do nich Klaudiusz Le Jay, Jan Codure oraz Paschazy Broët.

Wkrótce potem ruszyli na południe. Ignacy podążył do Loyoli, gdzie spędził trzy miesiące, ale w grudniu 1535 r. był już w Bolonii, a na początku 1536 r. w Wenecji, gdzie kontynuował studium teologii, któremu poprzednio oddawał się w Paryżu. W Wenecji też spotkał się z towarzyszami i razem z nimi na skutek niepokojów politycznych nadaremnie oczekiwał na okazję przeprawienia się do Palestyny. 24 lipca 1537 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Potem z Favrem i Laynezem pracował w Vicenzy. Obsługiwał tam chorych, nauczał katechizmu, wygłaszał kazania.

Równocześnie oddawał się intensywnej modlitwie. Doznawał na niej pociech, pośród których coraz wyraźniej zarysowywał mu się kształt zakonu, do którego założenia czuł się powołany. Gdy w listopadzie 1537 r. zbliżał się z towarzyszami do Rzymu, gdzie chcieli się wywiedzieć, jakie byłyby dla nich zalecenia papieża, w La Storta doznał wizji, która utwierdziła go w zamiarze.

W Wiecznym Mieście długo jeszcze omawiał zamiar z towarzyszami. W r. 1539 ułożyli wreszcie zarys instytutu, który składał się z pięciu rozdziałów i który nazwali *Formułą*. Paweł III zatwierdził ją najpierw ustnie w Tivoli (3 września 1539 r.), potem solenną bullą *Regimini militantis Ecclesiae* z dnia 27 września 1540 r. Wkrótce potem towarzysze obrali Ignacego generalnym przełożonym, a 22 kwietnia następnego roku u św. Pawła za Murami razem z nim złożyli uroczystą profesję zakonną. Towarzystwo Jezusowe rozpoczęło formalnie swe istnienie.

Dalsze ukonstytuowanie zakonu miało być dziełem wspólnych rozważań, ale redagowanie zasad i ich ostateczny kształt powierzono Ignacemu. Pisanie *Konstytucji* – zawsze pośród trudów, rozważań i gorących modłów – nie było jednak jedynym jego zajęciem w Rzymie. Wiele zdziałał dla tworzenia tam lub ożywiania dzieł charytatywnych: domów dla upadłych, a potem nawróconych niewiast, sierocińców, stowarzyszeń opiekujących się tymi zakładami. Apostołował też wśród Żydów, pracował po szpitalach, a na ulicach miasta uczył katechizmu. Udzielał ponadto nauk rekolekcyjnych, a swych duchownych synów uczył, jak je prowadzić.

Jego szczególnym polem działania było kierownictwo duchowne. Obejmowało ono wielu, w tym wybitne osobistości tego czasu, na przykład Jana de Vega, wicekróla Sycylii czy Małgorzatę Austriaczkę. W samym Rzymie ceniono go coraz bardziej i w związku z tym konsultowano w wielu doniosłych sprawach, dotyczących reform kościelnych.

Przede wszystkim zajmował się rządami w Towarzystwie Jezusowym, które nieustannie wzrastało w liczbę i zajęcia. Pod koniec jego życia liczyło już niemal tysiąc członków i rozprzestrzeniło się prawie na całą Europę oraz na spore połacie Azji i Brazylii. Sam Ignacy zainicjował i trudził się dokoła doniosłych dzieł Towarzystwa w Rzymie. Powstało tam w r. 1551 Kolegium Rzymskie, które stanie się prototypem kolegiów w całym zakonie; w rok później *Collegium Germanicum*,

które wyda zastęp pracowników dla krajów niemieckich; oraz dom profesów przy Santa Maria della Strada, który będzie ważnym centrum organizacyjnym i apostolskim.

W r. 1550 Juliusz III bullą *Exposcit debitum* raz jeszcze zatwierdził nowy instytut zakonny. W rok później Ignacy przedłożył współbraciom zrehabilitowane przez siebie *Konstytucje* do zatwierdzenia. Równocześnie zgłosił swą dymisję. Prośbę o tę ostatnią odrzucono. Miał nadal troszczyć się o wprowadzenie *Konstytucji* w życie.

Znużony tymi pracami i bardzo już schorowany, zmarł w dniu 31 lipca 1556 r. nad ranem.

Pisma

Ignacy nie był człowiekiem pióra. Mimo to napisał sporo. Czynił to zawsze z myślą o czymś praktycznym, przeznaczonym do zastosowania w życiu. Poza pismami zaginionymi (sprawozdaniem z podróży do Ziemi Świętej, traktatem o Trójcy Przenajświętszej, uwagami do *Ćwiczeń duchownych*, itd.) na naszą uwagę zasługują *Autobiografia* – o niej, wznawianej tutaj, nieco więcej napiszemy poniżej – oraz następujące pisma:

a) *Ćwiczenia duchowne*

Jest to niewątpliwie dziełko z ignacjańskich najbardziej znane i w swym oddziaływaniu najbardziej skuteczne.

Tekst rozpoczyna się nieco osobliwie wstępem, który zachowuje ton jak najbardziej praktyczny. Na wstępie ma przede wszystkim tego, który ma ćwiczeniami kierować. Wstęp nosi nazwę *adnotacji* i zawiera dwadzieścia uwag, które określają naturę i cel *Ćwiczeń*.

Dopiero potem następuje właściwy tytuł i krótki opis: *Ćwiczenia duchowne do przewyciężenia samego siebie i do uporządkowania swego życia...* W paragrafie następnym znajduje się jeszcze ogólne przestrzeżenie przed jakimkolwiek brakiem wzajemnego zaufania.

Zasada podstawowa czyli fundament, który odnajdujemy po tej uwadze, obejmuje ogólną wizję egzystencji ludzkiej, oglądanej okiem wiary. Należy ją przypominać u progu jakiegokolwiek pracy duchownej.

U tego samego progu należy podać rady, użyteczne w czasie kontynuowania wysiłku. Obejmują one zwięzły wykład rachunków sumienia, ogólnego i szczegółowego, uzupełniony uwagą o spowiedzi generalnej i Komunii św.

Dopiero po tych „preambułach” dochodzimy do ćwiczeń pierwszego „tygodnia”: dwóch rozmyślań o grzechu, uwag o ich powtórzeniach oraz rozmyślenia o piekle. Także te ćwiczenia uzupełnione są *addycjami dla ich lepszego odprawienia i lepszego odnajdywania tego, czego się szuka*.

Drugi „tydzień” rozpoczyna się rozważaniem wstępnym *O Królestwie* zatytułowanym *Wezwanie króla doczesnego, pomocne do rozpamiętywania życia Króla Wiekuistego*. Po nim następuje cały program kontemplacji rozdzielonych na dwanaście dni: trzy poświęcone tajemnicom dzieciństwa i życia ukrytego Chrystusa; dzień poświęcony medytacjom przygotowującym do dokonania wyboru; oraz osiem dni przeznaczonych do rozpamiętywania publicznego życia Pana. Rozważania dopełniają dwa doniosłe ćwiczenia: konsyderacja o trzech stopniach pokory oraz praca nad dokonaniem wyboru.

„Tydzień” trzeci obejmuje siedem dni, poświęconych kontemplowaniu Męki Pańskiej. Rekolektantowi proponuje się ponadto refleksje, których zadaniem jest *zaprowadzenie ładu w jedzeniu*.

„Tydzień” czwarty ogranicza się do naszkicowania kontemplacji Chrystusa zmartwychwstałego. Inne sceny, które można by podać w związku z tą tajemnicą, naszkicowane są później. Całość wieńczy *Kontemplacja do uzyskania miłości* oraz *Trzy sposoby modlitwy*, które aplikować można w ciągu całego życia.

Następuje rodzaj katalogu *Tajemnic życia Chrystusa*, którymi rekolektant karmić się może do woli. Pod koniec pojawia się jeszcze kilka serii reguł, które dla kierującego ćwiczeniami i tego, który je odprawia, mogą stać się pożyteczne w rozmaitych fazach duchownej pracy. Są więc dwie serie *Reguł do odczucia i rozeznania w pewnej mierze różnych poruszeń w duszy*, dobrych i złych; reguły pomocne przy rozdawaniu jałmużn; *Reguły o skrupułach* oraz *Reguły o trzymaniu z Kościołem*.

Już z tego zwięzłego przyglądu zawartości widać, że *Ćwiczenia duchowne* nie są książeczką do czytania. Mają raczej wspomagać w przysposabianiu duszy do tego, aby ona, wyzuwając się z nieuporządkowanych przywiązań, mogła swobodnie odnajdywać wolę Bożą.

Nie powstała ta książeczka od razu. Jest owocem nakładających się na siebie doświadczeń wewnętrznych. Jakby jej oddalonym tłem jest to, czego autor doznał w Loyoli. Powziął wtedy myśl o odprawianiu rachunku sumienia, o konieczności selekcjonowania myśli i uczuć, o dokonywaniu wyboru, o wzywaniu do *królestwa Chrystusowego* oraz o przedkładanych duszy *dwóch sztandarach*. W Manresie całość była już wyraźnie zarysowana. Powstały tam niewątpliwie medytacje pierwszego tygodnia, pouczenia o rozmaitych sposobach modlitwy, zarys reguł o rozeznawaniu duchów, tzw. *Fundament* oraz zasadnicze rozważania, prowadzące do wyboru.

W latach 1528–1535 Ignacy rewidował jeszcze tekst i przygotowywał go do użytku innych. Dodał wtedy garść uwag dla prowadzącego rekolekcje, medytację o trzech parach ludzi, o trzech stopniach pokory oraz kontemplację o miłości. Ostatnich retuszków dokonał w r. 1541 w Rzymie. Dzięki staraniom św. Franciszka Borgiasza Paweł III zaaprobował książeczkę bullą *Pastoralis officii cura* z r. 1548.

Strukturaliści dopatrują się dziś w *Ćwiczeniach* czterech nakładających się na siebie warstw: literalnej, semantycznej, alegorycznej i anagogenicznej. W warstwie literalnej znać niewątpliwie wpływ *Ejercitario* Garcii Jimenesa Cisnerosa (1500), benedyktyna z Montserratu, który na terenie Hiszpanii reprezentował nurt, znany powszechnie jako *Devotio moderna*. Wpływu tego nie należy jednak przeceniać (jak czynią to niektórzy z autorów benedyktyńskich). Mimo przejętych wyrażen i form *Ćwiczenia* pozostają czymś oryginalnym, wyrosłym z osobistych doznań Ignacego, poprzez które tu i ówdzie przebija się ponadto wpływ książek, czytanych w czasie długiej rekonwalescencji w Loyoli. W każdym razie wpływ *Devotio moderna* jest niewątpliwy. Kojarzy się ten wpływ z zaleceniami sięgania do książeczki *O naśladowaniu Chrystusa*, o której wiemy, że dla Ignacego stała się czymś ulubionym i drogim.

Choć niewielkie swymi rozmiarami, *Ćwiczenia* rychło stały się przedmiotem obszernych i bardzo licznych komentarzy. Pierwsze sporządzali autorzy z otoczenia Ignacego: Hieronim Nadal, Jan Polanco, św. Piotr Kanizy. Potem wystąpili inni, zawsze z zamiarem interpretowania *Ćwiczeń* wedle myśli świętego Ojca. Żeby te starania zespolić w jedno i sporządzić komentarz w pewnym sensie obowiązujący, za generalatu Klaudiusza Aquavivy przeprowadzono dalsze dyskusje i w r. 1599 wydano *Directorium* o charakterze bardziej oficjalnym. Nie zadowolilo ono wielu. Pojawiły

się komentarze nowe, nieraz bardzo obszerne. W rzeszy ich autorów wypada wyróżnić nazwiska A. Gagliardiego, L. de la Palma, Fr. Suareza, A. Le Gaudier, J. Diertinsa.

Wśród komentatorów XIX w. na szczególną uwagę zasługuje tłumacz *Ćwiczeń*, J. Roothaan (1835), którego wpływ na rozumienie metody był ogromny. Otwiera on następną listę komentatorów, wśród których znaleźli się tacy pisarze jak F. Hummelauer, M. Meschler, L. Peters, W. Sierp, E. Przywara, A. Valensin, H. Pinard de la Boullaye, Hugo i Karol Rahnerowie, I. Iparraguirre, G. Fessard, G. Cusson.

Wiele z tych komentarzy, zwłaszcza starszych, zasłynęło z doskonałych ujęć analitycznych. Niektóre z nich kładły nacisk na moment wyboru, podczas gdy inne podkreślały ogólne dążenie do doskonałości i otwieranie drogi do niej. Najnowsze starają się o ujęcia bardziej globalne. Podkreślają one wartość *Ćwiczeń* jako metody chrześcijańskiej pedagogii, która wiedzie rekolektantów do wewnętrznego przeżywania wiary i do głębokiego wyczuwania Chrystusowych wezwań. Dzięki temu rekolektant może na nie odpowiedzieć w pełni, podejmując dojrzałe decyzje.

Ignacy nie wszystkich skłaniał do odprawiania *Ćwiczeń* w całości. Z niektórymi poprzestawał na rozmyślaniach pierwszego „tygodnia”. Ta właśnie elastyczność zastosowań jest jedną z przyczyn, dla których ruch rekolekcyjny, oparty na metodzie ignacjańskiej, w wielu krajach stał się jedną z ważniejszych dźwigni *aggiornamento*.

b) Konstytucje

Wyrosły one ze zwięzłego zarysu, który w r. 1540 przedłożony został Pawłowi III jako *Formula Instituti Societatis Iesu*. Ignacy miał za radą swych towarzyszy sprecyzować i rozszerzyć niektóre ze sformułowań tego pierwszego zarysu. Była to praca żmudna, kontynuowana aż po śmierć świętego.

Rozpoczęły ją narady z sześcioma pierwszymi towarzyszami, które toczyły się w Rzymie na wiosnę 1541 r. Ich osiągnięcia Ignacy redagował razem z Janem Codure, ale ten ostatni zmarł w sierpniu 1541 r. Odtąd pracował sam. Precyzował więc normy, które należało zachowywać przy zakładaniu kolegiów, prowadzeniu rozmaitych rodzajów działalności, podejmowaniu nowych zadań apostołskich.

Około r. 1546 napisał *Examen generale*, jakby wstęp do *Konstytucji*. Dał w nim syntezę tego, czym ma być Towarzystwo Jezusowe. W tym mniej więcej czasie papież udzielił zakonowi uprawnień, które wpływały na modyfikowanie gotowego tekstu.

Od r. 1547 Ignacy miał już przydzielonego sobie, oddanego sekretarza. Był nim Jan Alfons Polanco. Prace postępowały odtąd żywiej. W czasie od listopada 1550 r. do lutego roku następnego profeszi z Rzymu zbierali się po to, aby go tu i ówdzie skrócić lub zmodyfikować, ale w ogólności udzielili mu swej aprobaty.

Pracy nad modyfikacjami Ignacy oddawał się razem z o. Polanco aż do swej śmierci. Bardziej upodobał wtedy tekst do kodeksu legislacyjnego, wprowadził do niego wiele poprawek, ale skończyć już go nie zdołał. Po śmierci Ignacego prace redakcyjne kontynuował Polanco i tekst przez niego przygotowany kongregacja generalna z r. 1558 w jego redakcji łańciskiej zaaprobowwała.

Pochód myśli jest w nim zrozumiały. Przed oczyma przesuwają się sukcesywnie wszystkie etapy jezuickiej egzystencji. Poza *Egzaminem – Konstytucje* zawierają dziesięć części. Pierwsza mówi o przyjęciu i próbowaniu kandydata do zakonu; druga o dymisjonowaniu tych, którzy prób

nie przeszli z powodzeniem; trzecia o postępowaniu tych, którzy przechodzą dalsze przygotowania; czwarta o ich formacji intelektualnej i o innych środkach wspomagania bliźnich; piąta o definitywnym inkorporowaniu do Towarzystwa nowych członków; szósta o osobistym życiu inkorporowanych; siódma o ich stosunkach z bliźnimi i wyznaczaniu prac apostołskich; ósma o tym, co członków powinno łączyć z sobą i z ich głową; dziewiąta o zwierzchnościach w zakonie i sposobie rządzenia; dziesiąta o utrzymaniu wspólnoty w pełnym zdrowiu i o jej rozwoju. Ostatnia część zawiera syntezę całości, a tym samym przypomina poniekąd to, co mieści się we wstępnym *Egzaminie*.

Konstytucje mocno osadzone były w starych chrześcijańskich tradycjach zakonnych. Mimo to, niektóre z ich ujęć uchodzić mogły w XVI stuleciu za coś zgoła rewolucyjnego. W oczach niektórych przedstawicieli starych środowisk monastycznych wydawały się wręcz nowatorstwem nie do przyjęcia. Gdy pojawiły się pierwsze fale ruchów antyjezuickich, przedstawiano je publicznie, nawet z katedr uniwersyteckich, jako rzecz zgoła niebezpieczną. Papieże brać je musieli w obronę i dla uniknięcia dwuznaczności aprobować na nowo. Z czasem jednak umysły się uspokoiły, a bliższy kontakt z realizacją *Konstytucji* sprawił, że na dalszy rozwój życia zakonnego zaczęły wywierać wpływ ogromny. Będzie jeszcze mowa o tym poniżej.

c) Dziennik duchowny

Nazwa, która się przyjęła, ma swój charakter ekstensywny. W rzeczy samej chodzi o fragment dziennika, który obejmuje jedynie okres od 2 lutego 1544 r. do 27 lutego 1545 r. Przedstawia więc oświecenia duchowne, których Ignacy doznał, gdy zastanawiał się nad zachowaniem w zakonie ubóstwa.

Mimo tych doznań poszukiwał dalej, widać stąd najwyraźniej, jak bardzo pragnął on aprobaty Bożej dla tego, co podsuwały mu rozmaite racje rozumowe i nadprzyrodzone.

Zdradził dzięki temu, jak to doznania mistyczne harmonijnie przystawały do głównych linii jego duchowości i wytycznych ascezy. Ukazał zarazem, jak zasady o właściwym wyborze, które sformułował, sam stosował w życiu.

d) Listy

Ignacy pozostawił po sobie obfitą korespondencję. Zachowało się mianowicie około siedem tysięcy jego listów. Wiele z nich pisał jego sekretarz, ale widać wyraźnie, że wiernie odzwierciedlają one myśli i pojęcia zakonodawcy.

Po największej części bogata ta korespondencja dotyczy najrozmaitszych spraw doraźnych, często związanych z wykonywanymi posługami, ale wśród listów zakonodawcy znajdują się także prawdziwe perły: listy o treści duchownej, które nazwać by można prawdziwymi ascetycznymi traktacikami.

Trzy z nich znalazły się w kanonie lektur zakonnych: *List o doskonałości*, napisany w r. 1547, powstały mniej więcej w tym samym czasie list o ubóstwie oraz – może najbardziej znany – list o posłuszeństwie, który Ignacy zredagował w r. 1553.

Podobny charakter zachowują liczne listy adresowane do osób, którymi Ignacy w ich dążeniu do reformy życia i doskonałości kierował.

Duchowość św. Ignacego

O duchowości w sposób całościowy i syntetyczny zakonodawca nigdy nie rozprawiał. Ale z jego pism, nawet z samej korespondencji Ignacego, można by nanizać ciąg cytatów, które taką syntezę by określały i wyrażały w oparciu o jego własne wewnętrzne doświadczenia.

Najwyraźniej znamionował te doświadczenia pewien dynamizm. Są w nich wspinaczki, ale przede wszystkim jest nieprzerwane poszukiwanie woli Bożej. Odnajdujemy tam odkrycia i przemiany, przemiany z życia lekkomyślnego do pełnej ofiarności względem Boga; od zewnętrznych surowości do wewnętrznej akceptacji trudów apostołowania, od osobistej miłości Chrystusa do służby na Jego rzecz w Kościele wojującym; od aktywności obmyślanej według osobistych upodobań, do pełnej dyspozycyjności w ramach tego, czego sam Bóg sobie życzy; od duchowej spontaniczności do dyskrekcji i rozważnego selekcjonowania dążeń.

Całe to wewnętrzne doświadczenie jest czymś bardzo indywidualnym, a jednak przeżywane było w Kościele, w nim się uintensywniało i przekształcało na służbę, spełnianą dla Kościoła.

Stykało się to doświadczenie z intuicjami wielkich mistrzów życia duchownego i doświadczeniami innych nurtów, znanych z dziejów Kościoła, zbierało w nurt nowy, który ma prawo zwać się szczególnym, zgoła oryginalnym.

Od Manresy Ignacego znamionowała pobożność, którą nazwać należy trynitarną, bo intensywnie zwracała się ona do Przenajświętszej Trójcy. Swój ostateczny wyraz ta pobożność znalazła w *Ćwiczeniach duchownych*, ale odnajdujemy ją także w doznanych wizjach, o których nam Ignacy opowiedział, a ponadto w urywkach jego wspomnień.

Rzeczy stworzone były dla niego zawsze tym, co wywodzi się z Bożej Dobroci i co do niej jako do swego ostatecznego celu zmierzać powinno. Ta Dobroć jest zarazem suwerenną Mocą, zdolną do spełnienia wszystkiego, stąd przeświadczenie o tym, że człowiek ożywiony wiarą i pokorą może być równocześnie jak najśmielszy i jak najbardziej ufny. U Boga, który jest samą Mądrością, człowiek znajdzie także światło i przewodnika, byle by się uwrażliwił na Boże inspiracje i poruszenia. A ufność człowieka może być tym większa, im pewniejsze jest to, że Opatrzność Boża działa w świecie.

Opatrzność ta ma na względzie człowieka, na którego oddziałuje ona w rozmaity sposób: przez zdrowie i chorobę, przez przeciwności i powodzenie, przez pociechy i oschłości. Wystarczy jednak szczerze powiedzieć: *Suscipe* i niepodzielnie zdać się na wolę Boga.

Trójca Przenajświętsza, która umiłowała rodzaj ludzki, odkupienia tego rodzaju dokonała przez Wcielonego Syna Bożego. Dlatego też nade wszystko należy wewnętrznie poznawać, miłować i naśladować Jezusa Chrystusa. Jego też należy bez ustanku pytać: Co dotąd dla Ciebie uczyniłem? Co powinienem uczynić?

W *Ćwiczeniach duchownych* Chrystus zajmuje dlatego miejsce centralne, decydujące. Wzywa do swego królestwa, a tych, co chcieliby posłuchać wezwania, na wszelki sposób zachęca do zajęcia właściwej, niepołowicznej postawy. Ma to być gotowość dzielenia z Nim wszystkiego. Chrystus zajął też centralne miejsce w *Konstytucjach* i dlatego zakon, dla którego pośród modlitw, pokut i łez były one redagowane, zwać się ma Towarzystwem Jezusowym.

Okoliczności, które założyciela i jego towarzyszy zaprowadziły w r. 1538 do Rzymu, „aby na drodze Pańskiej nie błądzili”, pokazują jasno, że jego miłość i służba dla Chrystusa nie sprowadzały się do postawy indywidualistycznej czy kontemplacji na wskroś afektywnej. Ignacy rozumiał, że prawdziwą Oblubienicą Chrystusa jest Kościół i że ten sam duch kieruje nami ku zbawieniu dusz.

Chrystusowy Duch z rzadka jest wspomniany w pismach Ignacego, badanego ongiś, czy nie uległ illuminizmowi. Ale o świadomości Jego obecności i oddziaływania przy odczytaniu ignacjańskich pism wątpić nie można. Istotną kompensatą tej świadomości jest w nim częste *sentire*, termin duchowny, który określa jakby wewnętrzny instynkt, wyczucie i smakowanie w sprawach Bożych i w odnajdywaniu Bożej woli.

W parze z tym odczuciem idzie *discretio*, umiejętność rozeznawania duchów, konieczna dla dokonywania nieustannych wyborów. Ona to jest gwarantem dobrego posługiwania się środkami, rodzajami aktywności, nawet spoczynkiem i modlitwą, owszem samymi ludźmi, a zawsze z myślą o wzroście królestwa Bożego. Dzięki ćwiczeniu się w tym rozeznaniu człowiek uduchowiony dojść może do *discreta caritas*, intuitywnego odnoszenia wszystkiego do źródła, którym jest Wiekuista Miłość Boża. Jest to miłość, a zarazem mądrość, która pozwala odnajdywać to, co lepsze. Św. Paweł wspomina o takiej zalecie w Liście do Filipian (1, 9): *Modlę się o to, aby miłość wasza doskonała się coraz bardziej i bardziej w głębszym poznaniu i wszelkim wyczuciu dla oceny tego, co lepsze, abyście byli czysti i bez zarzutu...*

To sięganie do źródła ma swą paralelę w odnoszeniu wszystkiego do Boga, czyli w nieustannym szukaniu Bożej chwały. O tej chwale mówili już przed Ignacym Katarzyna ze Sieny, Paweł Giustiniani i inni, ale on podkreśla, że ta chwała ma być ciągle większa, intensywniejsza, bardziej pełna i bardziej powszechna. Tak pojmowaną chwałę Bożą, która jest zarazem promieniowaniem Bożej potęgi i miłości oraz dziękczynieniem ludzkim za otrzymane dobrodziejstwa, urzeczywistniają uwielbienie, uczucia podziwu, wdzięczności oraz służba, rozumiana jako postawa życiowa.

Ta ostatnia, a więc postawa służebna wobec Boga jest zarazem zaangażowaniem apostołskim. W tym zaangażowaniu sprawa zbawienia i doskonałości osobistej wiąże się nierozdzielnie ze sprawą zbawienia i doskonałości bliźniego. Ignacemu chodzi zawsze o duchowy pożytek tego ostatniego.

Dla osiągnięcia tego pożytku apostoł ma się stać narzędziem w potężnej dłoni Boga. Im to narzędzie będzie lepsze, sprawniejsze, bardziej powolne, tym większa miłość będzie apostoła łączyć z Bogiem, a ta miłość nie ma już u wielu mistyków charakteru oblubieńczego, przejawia się raczej w służeniu ludziom, aby oni mogli realizować wolę Bożą.

Należy tu podkreślić, że ten dar z siebie, wydanie się na służbę bliźnim, przybrał u Ignacego formę instytucjonalną i wspólnotową. Stał się skonkretyzowanym przeżywaniem Kościoła, który dla Ignacego nigdy nie przestał być Oblubienicą Chrystusa, ukonstytuowaną hierarchicznie. To głębokie przekonanie skłoniło zakonodawcę i jego towarzyszy do ofiarowania swych usług papieżowi, potem do związania się z tym najwyższym w Kościele autorytetem przez specjalny ślub posłuszeństwa w tym, co dotyczy misji. Cała służebność, o której mówiliśmy co dopiero, przybrała więc u Ignacego charakter eklezjalny i kapłański, przy czym rozmaite funkcje, jakie mają być w Kościele spełniane, reguluje myśl o dobru wspólnym i wzmiankowana *discreta caritas*.

W ramach tej służebności mieści się też ignacjańskie pojmowanie zakonnego posłuszeństwa. Jest to posłuszeństwo dla Chrystusa, dostrzeganego w Jego przedstawicielach i tłumaczach. Całe uzasadnienie znajduje się we wzglądzie na Pana. Ale ten wzgląd nie wyklucza rzeczowego poszukiwania jednostek sposobnych do rządzenia. Wymaga się od nich wysokich kwalifikacji, o których Ignacy szeroko mówi w *Konstytucjach*. To posłuszeństwo winno zmierzać do ciągłego udoskonalania i jest urzeczywistnieniem ignacjańskiego *Suscipe*, końcowej modlitwy z *Ćwiczeń duchownych*.

Na tym tle właściwego znaczenia nabiera słynne *perinde ac cadaver*, upodobnienie do trupa, które zresztą jest dziedzictwem pozostawionym przez św. Franciszka z Asyżu. Praktyka posłuszeństwa nie jest pozbawiona prób, nazywanych nawet *nocami*, jak chwile opuszczenia przeżywane przez mistyków. W każdym razie nie wyklucza skłonności indywidualnych i inicjatyw osobistych. Tym bardziej nie wyklucza, raczej faworyzuje duchową dojrzałość, w której swój właściwy rozwój osiągają w harmonii dary naturalne i nadprzyrodzone.

Ignacy nabrał też dlatego poszanowania dla wartości studiów i środków materialnych, a także dla opinii i dobrej sławy. Należy wzgardzić „światem”, któremu przewodzą próżna chwała, bogactwa i pogoń za sławą, zwykłe wehikuły pychy. Ale po przebyciu oczyszczenia należy intensywnie posługiwać się tym, co w świecie dobre i co można spożytkować dla budowy królestwa Bożego, byleby we wszystkim odnajdywać Boga i szukać Jego chwały.

W tym właśnie duchu powinniśmy służyć duszom, przy czym tym ostatnim wyrażeniem Ignacy posługuje się zawsze na oznaczenie całego człowieka. Poświęca mu wiele uwagi. Chce, by człowieka traktować w ubóstwie, to znaczy bez jakiegokolwiek oczekiwania na zapłatę czy wdzięczność, z całą pokorą i miłością, z usposobieniem, które niejednokrotnie domagać się będzie nachylania lub przystosowywania się wedle okoliczności.

Wszystko to znalazło swój wyraz w *Konstytucjach* i w korespondencji Ignacego, ale wyłoniło się niewątpliwie z *Ćwiczeń duchownych*.

Znaczenie i kult Ignacego

Długo by tu można mówić o tym *vita posthuma* Ignacego, o jego oddziaływaniu na potomnych i o czci, którą mu poprzez wieki oddawano, ale trzeba by wówczas przedstawić bez mała całe dzieje założonego przez niego Towarzystwa, rozwój ruchu rekolekcyjnego i tylu innych dzieł. Ograniczymy się do wymienienia kilku głównych dziejowych wątków i objawów kultu.

Na następne pokolenia wpływ największy wywarły niewątpliwie ignacjańskie *Ćwiczenia duchowne*. Cenili je i zalecali wielcy mężowie Kościoła, tacy jak Karol Boromeusz, Franciszek Salezy czy Alfons Liguori. W wielu ośrodkach ożywiły ducha kontemplacji, a tak przyczyniły się do przeprowadzenia reformy.

Sięgnęła ta reforma do licznych środowisk zakonnych, nawet do niektórych starych klasztorów i zgromadzeń kontemplacyjnych. Zrazu zżymały się one na nowości w pojmowaniu zakonności, ale z czasem zaczęły przyjmować niejedno z koncepcji Ignacego i reformując zakrzepłe formy modyfikować lub rozszerzać samo pojęcie swego życia i stosowanych w nim praktyk ascetycznych.

Dzieło reformy, zainicjowane *Ćwiczeniami duchownymi*, objęło nie tylko klasztory, ale także szerokie warstwy kleru diecezjalnego, episkopaty, nawet środowiska laickie. Udzielane w mnożących się zakładach kształcenia młodzieży, przygotowywały kadry katolików świeckich, sposobnych do obrony Kościoła i współpracy z hierarchią.

Ożywiając religijność wielu środowisk, ożywiały także rozwój nauk kościelnych, zwłaszcza teologii, na którą wywarły wielki wpływ. Adaptowane natomiast do użytku bardziej popularnego, przemożnie wpłynęły na powstanie i rozkwit misji ludowych, rekolekcji parafialnych, nauk wielkopostnych i tym podobnych przedsięwzięć kaznodziejskich.

Ćwiczenia duchowne św. Ignacego pojawiły się też u kolebki nowych zgromadzeń zakonnych. Już św. Joanna de Lestonnac, podziwiając duchowość *Ćwiczeń*, adaptuje ignacjańskie

zasady do założonego przez siebie (1606) zgromadzenia Córek Naszej Pani (Nôtre–Dame). W XIX stuleciu takich zgromadzeń, opartych w swych ustawach na ignacjańskich *Konstytucjach*, powstanie tak dużo, że wyliczyć ich tu nie podobna.

Ten wielki nurt religijny podtrzymywały i wzmacniały niezliczone podręczniki do rozmyślań i rekolekcji, które popularyzowały, nieraz także spłycały ignacjańskie sposoby modlitewnego obcowania z Chrystusem. Wpływały one na pobożność ludową.

Wystarczy tu przykładowo wspomnieć o tym, że *Sume et suscipe*, konkluzja medytacji o miłości, przedostała się do niemal wszystkich popularnych modlitewników i mszalików. Nawet ulubione przez zakonodawcę wezwania *Duszo Chrystusowa*, umieszczane zazwyczaj na samym początku *Ćwiczeń*, choć były znacznie wcześniejsze, teraz w tych modlitewnikach widniały jako modlitwa św. Ignacego.

Równolegle do tego nurtu pobożności rozwijał się kult naszego świętego.

Już jego towarzysze zdawali sobie sprawę z jego niepospolitych zalet i dlatego nalegali, aby spisał lub podyktował swoje wspomnienia. Potem skwapliwie pozbierali relacje innych o nim. Za naszych czasów wydano je starannie w serii *Monumenta Historica Societatis Iesu* jako odrębna sekcja: *Fontes narrativi*.

Wcześniej dopominano się też o życiorys Ignacego. Pierwszy sporządził P. de Ribadeneira, jeden z najmłodszych i – dodajmy – z najbardziej ulubionych uczniów zakonodawcy. Był ten życiorys tłumaczony na wiele języków, w tym także na polski (1593) i bardzo silnie wpłynął na ikonografię świętego, zwłaszcza na przedstawienia scen z jego życia.

Po Ribadeneirze, który nie zadowolił wszystkich, za pióro sięgnęli inni. Wszystkich tu wymienić nie możemy. Za najwybitniejszych na ogół uchodzą: J. P. Maffei (Rzym 1585); N. Lancicius (Łęczycki, Rzym 1609); B. Bartoli (ib. 1650); J. Pinius w bollandiańskich *Acta Sanctorum Iulii* (Antwerpia 1731). Tych wydawano i tłumaczono najczęściej.

Gdy chodzi o kult publiczny, kardynał Cezary Baroniusz zainicjował go już właściwie w r. 1600. W dziewięć lat później Paweł V beatyfikował zakonodawcę. Do kanonizacji razem ze św. Franciszkiem Ksawerym przystąpił w r. 1622 Grzegorz XV, ale na skutek śmierci tego papieża samą bullę kanonizacyjną wydał w roku następnym jego następca, Urban VIII. Urządzono wówczas solenne uroczystości w bazylice św. Piotra, ale także w Mediolanie i Madrycie oraz w innych ośrodkach jezuickiej aktywności. Liturgiczne wspomnienie obchodzić odtąd miano w dniu 31 lipca, który był właściwym *dies natalis* świętego. W r. 1644 wspomnienie to rozciągnięto na cały Kościół zachodni, a w r. 1675 zaaprobowano teksty liturgiczne na ten dzień.

Centralnym miejscem kultu stał się natomiast kościół ufundowany przez kardynała Ludovisi przy Kolegium Rzymskim. Jego budowę rozpoczęto w r. 1626, ukończono zaś w r. 1685. Bogato dekorowany, kościół ten stał się pierwowzorem wielu innych, wznoszonych przez jezuitów i ich dobroczyńców w rozmaitych krajach. U nas świątynie pod wezwaniem św. Ignacego powstały w Gdańsku, Bydgoszczy, Ostrogu, Przemyślu, Wilnie i Warszawie. Trwało to budownictwo, wyraz kultu, aż po kasatę zakonu, po której tu i ówdzie, na przykład w Antwerpii, kościołom pod wezwaniem św. Ignacego zmieniano wezwanie a nieraz także całą bogatą dekorację wnętrza.

Spontanicznie, choć nie bez związku ze wspomnianymi życiorysami i dekoracjami wnętrz kościelnych czczono Ignacego jako patrona żołnierzy, dzieci, orędownika w walkach ze złymi duchami, ze skrupułami, w czasie gorączki, itp.

Szczególnym powodzeniem cieszył się patronat matek oczekujących potomstwa, który sięga co najmniej początków XVII stulecia. Związał się on z nabożeństwem, odprawianym na ogół w

formie nowenny do świętego oraz z używaniem wody nazywanej „wodą św. Ignacego”; tę ostatnią święcono przez zanurzenie jego relikwii lub podobizny. Posługiwano się tą wodą także w innych okolicznościach i niedomaganiach, ale do naszych czasów przetrwała przede wszystkim jako znak błogosławieństwa, udzielanego kobietom ciężarnym. Sam obrzęd Pius IX zaaprobował w r. 1866, a Leon XIII potwierdził w r. 1901.

Znacznie mniejszym powodzeniem cieszyło się dziewięcioniedzielne nabożeństwo do św. Ignacego, odprawiane zazwyczaj przed obchodem jego liturgicznego wspomnienia.

Za patrona św. Ignacego obrały sobie także prowincje baskijskie: w r. 1610 Guipuscoa, w r. 1680 Viscaya oraz w r. 1868 Alewa.

Najznakomitszym z patronatów, bo oficjalnym, zaaprobowanym przez Stolicę Apostolską, był ten, który w r. 1922 obwieścił Pius XI. Ogłosił on, mianowicie, Ignacego niebieskim patronem ćwiczeń duchownych i rekolekjonistów. Współbrzmiało to doskonale z wieloma innymi zaleceniami papieskimi, pochwalającymi ignacjańską metodę rekolekcyjną.

U nas kult św. Ignacego rozwijał się i postępował tymi samymi torami co gdzie indziej.

Wymieniliśmy już kilka kościołów pod jego wezwaniem; w niektórych wypadkach Ignacy dzielił to wezwanie z innymi. W innych jezuickich kościołach znajdowały się natomiast ołtarze, statuy lub obrazy, przedstawiające świętego lub sceny z jego życia.

O rozmiarach kultu świadczy też obfita literatura, którą z łatwością odnaleźć można w I tomie *Bibliografii polskiej* K. Estreichera (1906, s. 391–395) oraz w zestawieniu, pracownice sporządzonym we wstępie do *Pism wybranych*, opracowanych przez ekipę pod redakcją M. Bednarza. Ten ostatni dotknął też niektórych aspektów kultu w rozprawie *Jezuici a religijność polska*, ogłoszonej w *Naszej Przeszłości*, t. xx, z r. 1964.

Należałoby ponadto popatrzeć, jak kult zakonodawcy szerzono w prowadzonych przez jezuitów sodalicjach, bractwach dobrej śmierci itp. stowarzyszeniach. Niektóre objawy kultu i jego propagandy można też odnaleźć w katalogach dramatów szkolnych XVII i XVIII stulecia.

Ikonografia

Kult św. Ignacego najpełniej i najwspanialej odzwierciedlił się w jego ikonografii, w sztukach pięknych.

Tłem tej ikonografii stały się przede wszystkim liczne kościoły, o których wspominaliśmy powyżej. Budowane z wielkim rozmachem i nakładami, wyposażone były w bogatą dekorację wewnątrz, w których malowidła i statuy świętego odgrywały doniosłą rolę.

Gdy o pierwsze chodzi, szczególnym pietyzmem otaczano te, które mogły uchodzić za portret Ignacego. O takie starano się za jego życia, ale zakonodawca propozycje pozowania stanowczo odrzucał, był nimi zgorszony. Gdy tylko zgasł, zdjęto z jego oblicza maskę pośmiertną, a Jacopino del Conte pośpiesznie namalował portret świętego, ukazując go takim, jakby jeszcze żył. Otoczenie uznało ten obraz za nieudany i zbytnio się oń nie troszczyło.

Zaginęła też maska pośmiertna, ale z negatywu gipsowego zawczasu sporządzono maskę woskową, która po wielu wędrówkach wróciła w r. 1897 do Rzymu. Zachował się także gipsowy odlew, który wedle wielu świadectw najlepiej zachował podobieństwo do oryginału.

Wiele zalet przypisywano potem obrazowi sporządzonemu wedle maski przez Alfonsa Sancheza Coello. Spłonął on w Madrycie w r. 1931, ale istnieją jego kopie oraz fotografie sprzed

odnawiania. Inne nieco późniejsze próby miała ponoć ukoronować ta, której replika zachowała się do dziś u jezuitów flamandzkich w Brukseli.

Wszystkie wymienione, określane zaszczytnym tytułem *vera effigies*, na długo ukształtowały typ przedstawiania Ignacego. Miał na nich twarz pociągłą, wysokie czoło, wydatny nos oraz lekki czarny zarost. Za takim ujęciem poszedł też wielki Rubens, gdy malował postać świętego na jego kanonizację.

Początkowo Ignacego przedstawiano w sutannie, z biretem na głowie, potem w ślad za Rubensem ukazywano go raczej w szatach kapłańskich. W pierwszym ubiorze malował go między innymi Zurbarán, a rzeźbił G. Fernandez, w drugim malował Bolswer, rzeźbił E. Q. Asam.

Wyjątkowo świętego przedstawiano też jako rycerza lub z rycerskim rynsztunkiem u stóp; albo jako pielgrzyma, pokutnika w Manresie; potem także jako wizjonera, wpatzonego lub uniesionego ku niebu.

Ten ostatni sposób przypomina najbardziej monumentalne z przedstawień Ignacego. Zawdzięczamy je Andrzejowi Pozzo, który w rzymskim kościele pod wezwaniem świętego malował go, jak wstępuje do chwały niebieskiej – tak chcą jedni; lub jako prześwieconego Bożym światłem, które rozdziela pomiędzy swych synów duchownych – tak chcą inni.

Wielkie sceny, których domagały się barokowe świątynie, pojawiały się odtąd bardzo często. Liczne więc były przedstawienia wizji w La Storta. Ukazywano Ignacego w programie artystycznym, który miał zobrazować wezwanie: *Ite, accendite mundum!* Personifikowano w tym celu części ziemi, które miały przypominać działalność misyjną jezuitów. Gdy deptał smoka–demoną, przypominano rolę zakonodawcy w walce z herezjami.

Pojawiły się też przedstawienia grupowe, najczęściej ze św. Franciszkiem Ksawerym, z którym Ignacy dostąpił chwały kanonizacji; już Rubens na uroczystość tego wyniesienia namalował ich razem. Na wielu przedstawieniach o Ignacym towarzyszyli mu także inni święci z założonego przezeń zakonu, rzadziej dziewięciu jego pierwszych towarzyszy.

Rzadsze były też przedstawienia cudotwórczej działalności Ignacego, natomiast barokowe świątynie sprzyjały temu, aby ukazywać jego chwałę po śmierci.

Gdy o atrybuty chodzi, dodawano mu najpierw krzyż, potem najczęściej jezuickie *IHS* z trzema gwoździemi lub wręczano w ręce księgę. Była to albo księga *Konstytucji* albo *Ćwiczenia duchowne*. Bardzo często umieszczano też w pobliżu napis: *Ad maiorem Dei gloriam*.

Niektóre z wielkich arcydzieł podziwiać można do dziś w jezuickich lub pojezuickich kościołach. Tak więc dzieło Ribery oglądamy u jezuitów w Neapolu, a jedno z płócien Rubensa w kościele w Antwerpii; jego replika znajduje się u świętego Ambrożego w Genui.

Inne dostały się do rozmaitych muzeów. Tak więc dzieło Daniela Saghersa (XVII w.) oglądać można w muzeum antwerpskim; dzieło Juana de la Roelas (XVII w.) w muzeum prowincjonalnym w Sewilli; dzieło Valdesa Leal (XVII w.) także w muzeum sewilskim; Hieronima Espinoza (XVII w.) w muzeum w Walencji; dzieło Ribalty (XVII w.) w Galerii Narodowej w Londynie; dzieło Klaudiusza Vignon (XVII w.) w muzeum w Orleanie; dzieło Zurbárana w klasztorze w Castellon de la Plana, itd. Obraz namalowany przez wielkiego Murilla zniszczono w 1931 r.

Gdy o statuy chodzi, najcenniejszą była zapewne ta, którą w 1697 r. Piotr Le Gros wykonał ze srebra dla rzymskiego del Gesù. Zniszczoną odnowiono w r. 1804 pod kierunkiem Canovy. U jej stóp znalazły się sceny wykonane przez Ireneusza Frémin, Anioła DeRossi, Piotra Reitha, Wawrzyńca Merliniego, Franciszka Nuvolone i innych.

Marmurowa statua, sporządzona w r. 1733 przez Józefa Rusconiego, widnieje u św. Piotra jako jedna z wielu przedstawiających wielkich założycieli zakonów. Franciszek da Vergara rzeźbił w XVIII stuleciu statuetkę dla bazyliki św. Ignacego w Loyoli. Ta, którą stworzył Asam, znajduje się u urszulanek w Straubing, w Bawarii.

Wypada jeszcze wspomnieć reliefy z brązu Algardiego (1637) na urnie ze szczątkami świętego oraz sztychy, które dla *Żywotu* napisanego przez Ribadeneirę sporządzili (1609) artyści flamandzcy: Korneliusz Galle, Hadrian Collaert i inni.

Ikonografia polska Ignacego czeka na swego monografistę. To, co o niej wiemy, jest rozproszone, mniej niż wrywkowe.

Henryk Fros SJ

Kraków, w dniu Wszystkich Świętych 1990 r.

Autobiografia

Wprowadzenie

Pierwotnie zwała się ta opowieść *Acta Patris Ignatii* – Aktami Ojca Ignacego. Taką też nazwę zachowali dla niej bollandyści, gdy w łacińskim przekładzie publikowali ją w ostatnim lipcowym tomie swych *Acta Sanctorum* (1751). Tu i ówdzie nazywali ją ponadto *Vita prima*. W ich systematycznym szeregowaniu pomników dawnej hagiografii zasługiwała na ten zaszczyt pierwszeństwa, bo posiadając wszelkie cechy autentyczności, była chronologicznie pierwszą, współczesną bohaterowi.

Wydawcom naszych czasów ta pierwotna nazwa wiele chyba nie mówi. „Dziejami” ta opowieść nie była, a przez wzgląd na *Acta Apostolorum* – Dzieje Apostolskie, z nimi przede wszystkim kojarzyło się im łacińskie *Acta*.

Współcześni Ignacego, a tym bardziej bollandyści wiedzieli jednak dobrze, jakie to historyczne konnotacje niesie z sobą ten łaciński wyraz. *Acta* to nie tylko dzieje. To także sprawozdanie z posiedzeń, zwłaszcza z posiedzeń legislacyjnych; to protokoły z obrad w trybunałach, z procesów sądowych. To potem, wzorowane już na aktach prokonsularnych, hagiograficzne relacje o męczennikach, o ich świadectwie składanym na sądowej sali i na arenach, miejscach kaźni. Owiane mistyką męczeństwa te właśnie *Acta* stały się cennym świadectwem historycznym – Euzebiusz z Cezarei włączył je dlatego do swej *Historia ecclesiastica*, ale jeszcze bardziej były świadectwem wiary, heroizmu, chrześcijańskiego pojmowania życia i śmierci. Apologeci uważali je dlatego za cenny argument, którym należy posługiwać się dla obrony Kościoła i jego nauki.

Gdy opowiadały o szczegółach procesów i kaźni, o tyle je precyzowały, o ile mogły uwypuklić postawę męczenników, siłę ich wiary, jej bohaterstwo, wreszcie działanie i potęgę łaski. Tak były całe przeniknięte duchem nadprzyrodzonym, że niektórzy chcieli je uważać za kontynuację pism Nowego Testamentu.

Patrolodzy, obeznani z wczesnymi pomnikami literatury chrześcijańskiej, nigdy też wyrażenia *Acta martyrum* nie wazyli się tłumaczyć przez wyświechtane *Dzieje*, raczej poprzestawali na *Aktach*, uznając je za termin odrębny, wyposażony we własną niepowtarzalną treść. Podobnie postępowali mediewiści, obeznani z pomnikami wczesnośredniowiecznej hagiografii. Bo *Acta*,

wyraz używany zrazu jako tytuł opisu męczeństwa, potem per extensionem zaczął także oznaczać relacje o świętości wyznawców. Zawsze jednak były to relacje nie tyle o wydarzeniach zewnętrznych – te stanowiły jedynie kadry dla wyrażenia właściwej treści – raczej mówiły o przygodach ducha, o zjawiskach nadprzyrodzonych i interwencjach Bożych. Były jakby zaprotokółowaniem tych religijnych fenomenów.

W ten hagiograficzny gatunek wpisują się najwyraźniej Akta Ojca Ignacego. Są sprawozdaniami, podanymi do protokołu sporządzanego na piśmie. O tyle zaś stają się cenniejsze, że sporządzone zostały nie przez któregoś ze współczesnych lub uczniów bohatera, ale dyktowane przez niego samego.

Przynaglany przez innych, zwłaszcza przez Hieronima Nadalą, Ignacy po dłuższych wahaniach uległ braterskiej presji i ojcu Ludwikowi Gonsalvesowi da Cámara zaczął opowiadać o swoich duchownych przygodach. Uczynił to w przekonaniu zgodnym z intencjami namawiających. Jak Nadal sądził, że co opowie, może być użyteczne dla duchownego postępu innych.

Rzecz dyktował, a raczej sucho relacjonował rozmówcy, który czynił notatki, a potem tak wiernie wszystko przelewał na papier, że w sporządzonej na piśmie relacji wyczuwa się bez przerwy samego mówiącego. Gonsalves da Cámara stał się rzeczywiście protokołantem Ignacego.

Wszystko to odbyło się dość późno, w ciągu miesięcy od końca sierpnia 1553 r. do ostatniej dekady października 1555 r., z dłuższymi przerwami, spowodowanymi rozmaitymi przyczynami i nieobecnością wiernego Gonsalvesa. Święty widział już wtedy swe duszne przygody w pewnej perspektywie, w tej optyce, którą zapewnia duchowa dojrzałość i wysoki stopień zjednoczenia z Bogiem.

Nie uważał, aby czas można trwonić na opowiadania o młodości i jej błędach, tym bardziej na poruszanie spraw, które uważał za banalne. Nie mówił również o tym, co ojcowie w Rzymie znali z autopsji. „Inne rzeczy może opowiedzieć Magister Nadal” – powiedział do ojca Gonsalvesa, a tak otrzymaliśmy relację, która kończy się na r. 1538.

Dalekie to było od autobiografii, nawet od takiej zwięzłej, jaką potomnym pozostawił Beda Wielebny. Stąd też tytuł *Autobiografia*, jaki dotąd widnieje w skrótowych ujęciach encyklopedycznych, jest mało trafny i właściwie dezorientujący.

Prędzej by już Akta nazwać można było wyznaniem, bo takimi rzeczywiście są w swej treści. Mówią o przygodach duszy, o jej wzniesieniach do Boga, o dokonywanych w świetle Bożej łaski wyborach życiowych. Wszystko też do tej łaski odnoszą, a tak wyrażają postawę pełną wdzięczności. W tym przypominają Wyznania Augustyna, ale – należy tu podkreślić – dalekie są od retoryki wielkiego doktora, od melodyjnych fraz jego uroczego języka, od toczonych wyrażań, które godne są zapamiętania lub rycia w kamieniu.

Wszyscy to przyznają: Ignacy mówił jak typowy Bask, nieco topornie, bez troski o wzbogacenie języka, w całej prostocie słowa, które jednak – może z niejakim trudem – starannie dobierał.

Stąd też w jego opowiadaniach nie należy poszukiwać literackiego piękna. Nic zresztą z literackości. Jest to cecha, która na nowo kojarzy je z pojęciem *Acta*, które w ujęciu wczesnych hagiografów miały być suchymi relacjami, ujmowanymi protokółarnie, niczym więcej.

Jeżeli czegoś mamy się w opowiadaniach Ignacego doszukiwać, to wyłącznie wewnętrznej prawdy o duszy, która poszukiwała drogi do zjednoczenia z Bogiem i odnalazła ją. Szukała pośród przeciwności i pomyłek, zrazu jakby po omacku, potem coraz rozważniej, selekcjonując wszystko i dobierając właściwych środków.

W r. 1922 E. Thibaut wydał Acta pod tytułem *Le récit du Pčlerin*. Z francuską błyskotliwością trafił na wyrażenie oryginalne, choć nieco przypominające średniowieczne opowiadania o pielgrzymkach do Ziemi Świętej lub do innych słynnych sanktuariów. Ignacy w swym opowiadaniu mówi jednak o itinerrarium duchownym, wskazuje na szlaki pielgrzymowania po przestrzeniach Bożych, wspomina o rozmaitych etapach przebytej drogi.

Tytuł francuskiego tłumacza przyjął się dość powszechnie. Acta Patris Ignatii są dziś lepiej znane pod nim niż pod nazwaniem pierwotnym, które dobrze przemawia może tylko do znawców piśmiennictwa starochrześcijańskiego. Żywimy nadzieję, że lektura opowieści ułatwi czytelnikowi rozeznanie we własnych pielgrzymowaniach i w odnajdywaniu drogowskazów pewnych, dobrze wytyczających szlaki.

Przykład zawdzięczamy Ks. Mieczysławowi Bednarzowi. Po raz pierwszy opublikowany został w pierwszym tomie Św. Ignacego Loyoli Pism wybranych, Kraków 1968, 163–271. Tam też można znaleźć obszerne wprowadzenie i pożyteczne objaśnienia tekstu.

Henryk Fros SJ

Przedmowa o. Ludwika Gonsalvesa da Cámara

1. Dnia 4 sierpnia 1553 roku, w piątek rano, w wigilię święta Matki Boskiej Śnieżnej, kiedy Ojciec Ignacy przebywał w ogrodzie przylegającym do tej części domu, którą zowią „pokojami księcia”, zacząłem mu zdawać sprawę z pewnych szczegółów dotyczących mej duszy. Między innymi wspominałem o pokusie próżnej chwały. Jako lek zalecił mi Ojciec odnosić często do Boga wszystkie swoje sprawy i starać się ofiarować mu to wszystko, co tylko dobrego we mnie się znajduje, uważając, że jest to jego dobro, i za wszystko składać mu dzięki. Tak o tym ze mną rozmawiał i tak mnie pocieszył, iż nie mogłem powstrzymać się od łez. Opowiadał mi też Ojciec, jak on sam borykał się z tą wadą przez dwa lata i to do tego stopnia, że kiedy wsiadał w Barcelonie na okręt z zamiarem udania się do Jerozolimy, nikomu nie odważył się wyznać, że wyrusza do Jerozolimy. Tak samo zachował się w innych podobnych okolicznościach. Dodał też, że potem doznawał w tym względzie wielkiego spokoju ducha.

Po godzinie lub dwóch udaliśmy się do stołu. A kiedy magister Polanco i ja jedliśmy razem z nim, powiedział nam nasz Ojciec, że magister Nadal i inni z Towarzystwa często prosili go o pewną rzecz, on jednak nigdy nie powziął decyzji w tej sprawie. Lecz potem, po rozmowie ze mną, skupiwszy się w swoim pokoju, doznał wielkiego uczucia pobożności i poczuł skłonność do spełnienia ich prośby. A wyraził to w taki sposób, iż widać było, że Bóg dał mu w tej sprawie dużo światła. Zdecydował się więc na to (a chodziło o to, by opowiedział wszystko, co działo się w jego duszy aż do tej pory) i postanowił, że mnie wyjawia te wszystkie rzeczy.

2. W tym czasie był Ojciec bardzo chory. Aczkolwiek nie miał zwyczaju obiecywać sobie ani jednego dnia życia – owszem, wręcz przeciwnie, gdy ktoś mówił: „Zrobię to za dwa tygodnie lub za tydzień”, ojciec jakby zaskoczony mawiał zawsze: „Jak to, sądzisz, że będziesz żył tak długo?” – niemniej tym razem powiedział, że spodziewa się żyć jeszcze trzy lub cztery miesiące, żeby skończyć tę sprawę. Nazajutrz na moje pytanie, kiedy chce, abyśmy zaczęli, odpowiedział mi, żebym mu to przypominał codziennie (już nie pamiętam przez ile dni), aż znajdzie po temu

odpowiednią porę. Gdy jednak z powodu zajęć taka sposobność mu się nie nadarzała, zażądał ode mnie, abym mu to przypominał w każdą niedzielę.

I tak w miesiącu wrześniu (nie pamiętam już, którego dnia) zawołał mnie Ojciec do siebie i zaczął mi opowiadać o całym swoim życiu, a także o wybrykach swej młodości, jasno i szczegółowo, ze wszystkimi okolicznościami. A potem wzywał mnie w tymże miesiącu jeszcze trzy lub cztery razy i doprowadził opowiadanie aż do pierwszych dni pobytu w Manresie, jak to widać ze zmiany charakteru pisma.

3. W swoim sposobie opowiadania postępuje Ojciec Ignacy tak samo jak i we wszystkich innych sprawach. A mianowicie czyni to z taką jasnością, że to, co już należy do przeszłości, staje przed człowiekiem tak, jakby to teraz widział. I nie trzeba mu było zadawać żadnych pytań, bo o tym, co było potrzebne do zrozumienia jego opowiadania, zawsze Ojciec sam nie zapominał powiedzieć. Nie uprzedziwszy Ojca, udałem się zaraz do siebie, aby spisać to wszystko, najpierw własnoręcznie w punktach, a potem obszerniej, tak jak obecnie jest to napisane. Starałem się usilnie nie pisać ani jednego słowa, którego bym nie słyszał z ust Ojca. A co do treści, jeżeli się obawiam, że w czym uchybił, to w tym, że nie chcąc odbiegać od słów Ojca, nie zawsze mogłem dobrze oddać siłę niektórych jego wyrażen. I tak to notowałem, jak wspominałem wyżej, aż do września 1553 roku. Potem zaś, aż do przybycia ojca Nadala w dniu 18 października 1554 roku, Ojciec Ignacy zawsze się wymawiał z powodu chorób i różnych zajęć, które się nadarzały, i mawiał do mnie: „Kiedy skończy się ta sprawa, przypomnij mi”. A kiedy dana sprawa była skończona, przypominałem mu, a on mówił: „Teraz mamy inne zajęcia; kiedy je wykonamy, znów mi przypomnij”.

4. Ojciec Nadal po swoim przyjeździe bardzo się ucieszył, dowiedziawszy się o rozpoczęciu tego dzieła. Poleciał mi też, abym się naprzykrzał Ojcu i powtarzał mi kilkakrotnie, że Ojciec niczym innym nie może więcej przyczynić się do dobra Towarzystwa, jak właśnie to czyniąc, i że to właśnie jest prawdziwym założeniem i [ugruntowaniem] Towarzystwa. W tym też duchu on sam rozmawiał często z Ojcem. Ojciec Ignacy powiedział mi, abym mu o tym przypominał, gdy będzie załatwiona sprawa dotacji Kolegium Rzymskiego. A gdy ta sprawa się skończyła, poleciał mi poczekać, aż załatwi sprawę misji w kraju Kapłana Jana i aż wyśle posłańca z pocztą. Dnia 9 marca zaczęliśmy dalej ciągnąć tę opowieść. Wnet jednak zaczął chorować papież Juliusz III i umarł dnia 23 marca. Ojciec odłożył tę sprawę aż do wyboru nowego papieża. Ledwie jednak został wybrany, rozchorował się i umarł. Był to Marceli II. I znów Ojciec odłożył wszystko aż do wyboru Pawła IV. Potem z powodu wielkich upałów i wielu zajęć zawsze doznawał różnych przeszkód aż do dnia 21 września. W tym to dniu poruszono sprawę mojego wyjazdu do Hiszpanii. Dlatego też naciskałem mocno na Ojca, aby dotrzymał uczynionej mi obietnicy. On zaś poleciał mi stawić się rano dnia 22 września w Czerwonej Wieży. Tak więc skończywszy mszę św. udałem się do niego z zapytaniem czy już jest odpowiednia pora.

5. Poleciał mi czekać na siebie w Czerwonej Wieży, ażeby tam już był, kiedy on nadejdzie. Zrozumiałem, że przyjdzie mi tam długo czekać. I podczas tego, gdym w krużganku zatrzymał się z pewnym bratem, który mnie pytał w jakiejś sprawie, nadszedł Ojciec i skarcił mnie za to, że przekroczył nakaz posłuszeństwa nie czekając na niego w umówionym miejscu. Nic też nie chciał [opowiadać] tego dnia. Potem znowu bardzo nalegaliśmy na niego. Wrócił więc do Czerwonej

Wieży i opowiadał dalej przechadzając się, jak to zwykł czynić podczas opowiadania. Ja zaś, aby dobrze przyjrzeć się jego twarzy, zbliżałem się powoli do niego. A on mi na to: „Zachowaj regułę!” A gdy ja lekceważąc jego polecenie znów się przybliżałem i popełniłem ten sam błąd dwa albo trzy razy, wytknął mi to i odszedł. Potem jednak wrócił do Czerwonej Wieży i dokończył opowieści tak, jak jest napisana. A ponieważ ja od dawna byłem w ciągłej gotowości do drogi (w wigilię bowiem mojego wyjazdu ostatni raz Ojciec rozmawiał ze mną w tej sprawie), nie mogłem wszystkiego spisać obszerniej w Rzymie. A że w Genui nie miałem sekretarza Hiszpana, dyktowałem po włosku według tego, co z Rzymu przywoziłem z sobą zanotowane tylko w krótkich punktach. Pisanie to zakończyłem w grudniu 1555 roku w Genui.

I. NAWRÓCENIE (1521-1522)

Ignacy ranny w Pampelunie (20 maja 1521)

1. Aż do dwudziestego szóstego roku życia był człowiekiem oddanym marnościami tego świata. Szczególniejsze upodobanie znajdował w ćwiczeniach rycerskich, żywiąc wielkie i próżne pragnienia zdobycia sobie sławy. Tak więc znalazł się pewnego dnia w twierdzy Pampelunie oblężonej przez Francuzów. Kiedy wszyscy jego towarzysze widząc jasno, że nie potrafią się obronić, byli zdania, że trzeba się poddać, o ile tylko otrzymają obietnicę zachowania życia, on przytoczył tyle racji alkadowi, iż zdołał go przekonać i skłonić do obrony – wbrew opinii oficerów, których także do odwagi zachęcił swoim zapałem i energią. Gdy nadszedł dzień, w którym spodziewano się szturm i kanonady, wypowiadał się z grzechów przed jednym ze swych towarzyszy broni. Ostrzeliwanie twierdzy trwało już dobrą chwilę, gdy nagle kula z działa ugodziła go w nogę i zdruzgotała ją zupełnie. A ponieważ kula przeszła mu pomiędzy nogami, więc i druga noga była też ciężko zraniona.

2. Gdy on padł ranny, obrońcy twierdzy natychmiast poddali się Francuzom. Ci zaś opanowawszy twierdzę, potraktowali rannego bardzo dobrze, odnosząc się doń z kurtuazją i życzliwością. Po upływie dwunastu lub piętnastu dni, jakie jeszcze spędził w Pampelunie, przenieśli go w lektyce do jego rodzinnej miejscowości. Ponieważ czuł się bardzo źle, wezwano z różnych stron lekarzy i chirurgów. Byli oni zdania, że trzeba ponownie łamać nogę, żeby kości dobrze złożyć. Mówili bowiem, że widocznie źle były złożone za pierwszym razem, albo że podczas drogi zmieniły swe położenie; w każdym razie nie były na swoim miejscu, a wobec tego powrót do zdrowia był niemożliwy. Zabrano się więc do powtórzenia tej „jatki”. Podczas tej operacji, podobnie jak i podczas tych wszystkich, które już przecierpiał i które miał jeszcze przecierpieć, nie powiedział ani słowa, nie okazał też żadnego znaku bólesci prócz tego tylko, że mocno zaciskał pięści.

3. Stan jego zdrowia pogarszał się coraz bardziej. Nie mógł już jeść i pojawiły się inne oznaki zbliżającej się śmierci. Tak nadszedł dzień św. Jana Chrzyciela, a lekarze nie mieli już wielkiej nadziei ocalenia go. Poradzono mu zatem, by się wypowiadał. Przyjął więc ostatnie sakramenty w wigilię św. Apostołów Piotra i Pawła. Lekarze orzekli, że jeśli do północy nie poczuje się lepiej, można go uważać za straconego. Chory miał zawsze nabożeństwo do św. Piotra i spодobało się

Panu naszemu sprawić, że o północy zaczął się czuć lepiej. Poprawa zdrowia była tak szybka, że już po kilku dniach uznano, iż nie grozi mu niebezpieczeństwo śmierci.

4. Kości zaczęły się już zrastać, ale poniżej kolana jedna kość była nasunięta na drugą, tak iż noga była przez to krótsza. Nadto kość ta sterczała tak bardzo, że był to widok nader brzydki. On zaś, zdecydowany iść drogą światową, nie mógł tego ścierpieć, bo sądził, że to go będzie szpecić. Zapytał więc chirurgów o możliwość odcięcia tej kości. Odpowiedzieli mu, że można ją odciąć, ale że cierpienia będą większe niż wszystkie te, jakich już doznał, ponieważ był już zdrowy i ponieważ operacja ta potrwa dłuższy czas. Niemniej zdecydował się na to męczeństwo z własnej woli, chociaż brat jego starszy był tym przerażony i mówił, że nie odważyłby się znieść takiego bólu. Ale ranny przetrzymał i ten ból ze zwykłą u niego cierpliwością.

5. Rozcięto mu więc ciało, odpiłowano tę wystającą kość i zastosowano środki, ażeby noga nie została krótsza. Przykładano wiele maści i bez przerwy naciągano nogę przy pomocy wyciągu, który go męczył przez wiele dni.

Rozeznanie duchów

Ale Pan nasz przywracał mu zdrowie. Czuł się już tak dobrze, że uważał się prawie za zdrowego, z tym tylko wyjątkiem, że nie mógł jeszcze stąpać chorą nogą i dlatego musiał leżeć w łóżku. A ponieważ bardzo był rozmiłowany w czytaniu książek światowych i pełnych różnych zmyślonych historii, tak zwanych romansów rycerskich, więc czując się dobrze poprosił dla zabicia czasu o jakieś książki tego rodzaju. W tym domu nie było jednak żadnych takich książek, które zwykł był czytać. Dlatego dano mu Życie Chrystusa i księgę Żywotów Świętych w języku hiszpańskim.

6. Czytał więc często te książki i nawet poczuł w sobie pewien pociąg do tego, co tam było napisane. Ale kiedy przerywał to czytanie, rozmyślał niekiedy nad tym, co przeczytał, kiedy indziej zaś nad sprawami światowymi, które przedtem zajmowały jego umysł. Wśród tych wielu spraw próżnych, które mu się narzucały, jedna tak bardzo opanowała jego serce, że zatopiwszy się w niej rozmyślał nad nią dwie, trzy a nawet cztery godziny, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Marzył o tym, czego by miał dokonać w służbie pewnej damy, o środkach, których by użył, aby dostać się do miejscowości, gdzie ona mieszkała, o wierszach i słowach, w których by się do niej zwracał, wreszcie o czynach orężnych, których by dokonywał w jej służbie. I tak był pogrążony w tych marzeniach, że nawet nie widział, jak bardzo były one niemożliwe do spełnienia, ponieważ dama ta nie była zwyczajną szlachcianką, ani hrabianką, ani księżniczką, ale należała do nieporównanie wyższego stanu.

7. Tymczasem Pan nasz spieszył mu z pomocą i sprawiał, że po tych myślach następowały inne, zrodzone z tego, co przeczytał. W rzeczy samej podczas czytania Żywotu Pana naszego, Żywotów Świętych, myślał nad nimi i tak rozważał sam w sobie: „Co by to było, gdybym zrobił to, co św. Franciszek, albo co zrobił św. Dominik?” I rozmyślał o wielu rzeczach, które wydawały mu się dobre, a zawsze miał na oku rzeczy trudne i ciężkie. A kiedy je sobie przedstawiał, wydawało mu się rzeczą łatwą wcielić je w czyn. I całe jego rozważanie sprowadzało się do tego, że mówił sam do siebie: „Św. Dominik zrobił to, więc i ja muszę to zrobić. Św. Franciszek zrobił to, więc i ja

muszę to zrobić”. Myśli te trwały w nim przez dłuższy czas, potem znów inne rzeczy je przerywały i nachodziły go myśli światowe, o których była wyżej mowa. One też zajmowały go dość długo. I to następstwo tak różnych myśli trwało w nim przez dosyć długi czas, a on zatrzymywał się zawsze nad myślą, która się pojawiła i narzucała jego wyobraźni: już to myśl o światowych wyczynach, których pragnął dokonać, już to ta inna – o Bogu. Wreszcie znużony porzucał je i zajmował się czym innym.

8. Jednakże w tym następstwie myśli była taka różnica: kiedy myślał o rzeczach światowych, doznawał w tym wielkiej przyjemności, a kiedy znużony porzucał te myśli, czuł się oschły i niezadowolony. Kiedy znów myślał o odbyciu boso pielgrzymki do Jerozolimy lub o tym, żeby odżywiać się samymi tylko jarzynami i oddawać się innym surowościom, jakie widział u świętych, nie tylko odczuwał pociechę, kiedy trwał w tych myślach, ale nawet po ich ustąpieniu pozostawał zadowolony i radosny. Nie zwracał jednak na to uwagi ani nie zatrzymywał się nad oceną tej różnicy aż do chwili, kiedy pewnego razu otworzyły mu się nieco oczy i kiedy zaczął dziwić się tej różnicy i zastanawiać się nad nią. To doświadczenie doprowadziło go do zrozumienia, że jedne myśli czyniły go smutnym, inne zaś radosnym. I tak powoli doszedł do poznania różnych duchów, które w nim działały – jednego szatańskiego, drugiego Bożego.

To było jego pierwsze rozważanie o rzeczach Bożych; a kiedy potem oddawał się Ćwiczeniom Duchownym, stąd czerpał swoje pierwsze światło do rozpoznania różnicy duchów.

9. Uzyskawszy niemało światła z tej lektury zaczął więcej rozmyślać o swoim przeszłym życiu i o tym, jak wielki ciążył na nim obowiązek pokutowania za nie. Wtedy też zrodziło się w nim pragnienie naśladowania świętych. I nie tyle zastanawiał się nad szczegółami, ile raczej obiecywał sobie, że przy łasce Bożej dokona tego, czego oni dokonali. Jedynym jego pragnieniem było, jak to już wyżej wspomniano, po odzyskaniu zdrowia udać się do Jerozolimy i praktykować takie biczowania i takie posty, jakich pragnie serce hojne i rozpalone miłością Bożą.

Decyzja

10. Przeszłe jego myśli próżne pogrążyły się w zapomnieniu wobec tych świętych pragnień, które żywił, a które potwierdziło w nim następujące widzenie. Pewnej nocy, gdy nie spał, ujrzał obraz naszej Pani ze świętym Dzieciątkiem Jezus. Widzenie to nappełniło go na dłuższy czas nadzwyczajną pociechą i tak wielkim wstrętem do życia przeszłego, a szczególnie do grzechów cielesnych, iż zdawało mu się, że wymazane zostały z jego duszy wszystkie te obrazy i wyobrażenia, które aż do tej pory były w niej wyrte. I tak od tamtej chwili aż do sierpnia 1553 roku, kiedy te rzeczy są notowane, nigdy nie dał najmniejszego przyzwolenia na pokusy cielesne. Z tego też skutku można wnosić, że widzenie to było od Boga, choć on sam nie śmiał o tym zdecydować i nie twierdził nic ponad to, co wyżej powiedziano. Brat jego, a także i wszyscy domownicy zauważyli po jego zewnętrznym sposobie życia zmianę, jaka dokonała się we wnętrzu jego duszy.

11. On zaś nie troszcząc się o nic trwał w swoim czytaniu i w swoich dobrych postanowieniach; a cały ten czas, który spędzał z domownikami, poświęcał na rozmowy o rzeczach

Bożych, przynosząc przez to pożytek ich duszom. A ponieważ bardzo rozsmakował się w czytaniu tych książek, przyszło mu na myśl, żeby zapisywać sobie pokrótce pewne ważniejsze rzeczy z życia Chrystusa i świętych, I tak z wielką pilnością zaczął pisać książkę – a już wtedy zaczynał wstawiać z łóżka i chodzić po domu. Słowa Chrystusa pisał atramentem czerwonym, słowa zaś Naszej Pani niebieskim. Papier był gładki i poliniowany, a pismo piękne, ponieważ umiał bardzo dobrze pisać.

Książka ta liczyła około 300 kart in quarto całkowicie zapisanych.

Część swego czasu spędzał na pisaniu, część na modlitwie. Największą jego pociechą było patrzeć w niebo i gwiazdy, co też czynił często i przez długi czas, ponieważ odczuwał wtedy w sobie wielki zapał do służby Panu naszemu. Myślał też często o swoim postanowieniu i pragnął być już całkowicie zdrowym, aby móc udać się w drogę.

12. Kiedy rozważał, co zrobi po powrocie z Jerozolimy, ażeby móc zawsze prowadzić życie pokutne, nasuwała mu się myśl, żeby się usunąć do klasztoru Kartuzów w Sewilli i nie mówić tam kim jest, aby go tym mniej ceniono, i żeby mógł żywić się samymi tylko jarzynami. Gdy zaś innym razem rozmyślał znów o pokutach, które chciał praktykować wędrując po świecie, pragnienie wstąpienia do Kartuzów poczyniło w nim stygnać. Obawiał się bowiem, że nie będzie mógł tam swobodnie zaspakajać tej nienawiści do samego siebie, którą w sobie odczuwał. Niemniej jednak dał zlecenie jednemu ze sług udającemu się do Burgos, aby zebrał wiadomości o regule Kartuzów. Wiadomości, które otrzymał, spodobały mu się; ale dla wyżej wymienionej racji i ponieważ cały był pochłonięty myślą o podróży, którą miał wkrótce przedsięwziąć, a ta sprawa wstąpienia do Kartuzów miała być załatwiona dopiero po jego powrocie z Ziemi Świętej, przeto nie zatrzymywał się nad nią dłużej. Owszem, czując się dość silny, sądził, że nadszedł już czas wyruszyć w drogę. Rzekł więc do swego brata: „Panie, wiadomo ci, że książę Nájery już wie o moim wyzdrowieniu. Byłoby zatem dobrze, żebym udał się do Nawarrety”. W rzeczy samej książę przebywał tam wtedy. Brat wziął go do osobnego pokoju, potem znów do innego, i bardzo przejęty zaczął go błagać, żeby nie gubił siebie, ale żeby rozważył, jakie nadzieje wiążą z nim ludzie i do jakiego mógłby dojść znaczenia. Mówił też wiele innych podobnych rzeczy, które zmierzały do tego, żeby go odwieść od jego dobrego pragnienia.

Jego brat i niektórzy domownicy podejrzewali, że chciał dokonać jakiejś wielkiej zmiany w swoim życiu.

On zaś dał bratu odpowiedź wymijającą, nie odstępując jednak od prawdy, której już wtedy skrupulatnie przestrzegał.

II. RYCERZ BOŻY (1522)

Z Loyoli do Nawarrety (koniec lutego 1522)

13. Wyruszył więc na mulicy w towarzystwie drugiego brata, który chciał z nim jechać aż do Oñate. W drodze nakłonił go, aby odbył z nim razem całonocne czuwanie przed ołtarzem Matki Boskiej w Arançuz (Aránzazu). Modlił się tam o nowe siły do tej podróży.

Od dnia, w którym opuścił swoją rodzinną miejscowość, biczował się każdej nocy.

Zostawiwszy brata w Oñate w domu jednej ze siostr, którą on chciał odwiedzić, sam udał się do Nawarrety. Przypomniawszy sobie o kilku dukatach, które mu się należały na dworze księcia; wydawało mu się, że byłoby dobrze odebrać je, i napisał w tym celu kartkę do skarbnika. Ten odpowiedział mu, że nie ma pieniędzy. Kiedy książę o tym się dowiedział, powiedział, że może zabraknąć pieniędzy dla każdego innego, ale nie dla Loyoli; miał on nadto zamiar ofiarować mu jakieś dobre stanowisko namiestnika, gdyby tylko chciał je przyjąć, powodował się bowiem wielkim zaufaniem, które sobie Iñigo zaskarbił w przeszłości. Otrzymawszy należne mu pieniądze część ich oddał osobom, wobec których był zobowiązany, część zaś przeznaczył na odnowienie i ozdobienie pewnego obrazu Matki Boskiej, który był mocno zniszczony. Odesłał też obu służących, którzy mu towarzyszyli, i dosiadłszy swej mulicy samotnie wyruszył z Nawarrety do Montserratu.

Obrońca czci Najświętszej Panny

14. W tej drodze miał przygodę, o której dobrze będzie opowiedzieć w tym celu, aby lepiej można było zrozumieć, jak Pan nasz postępował z tą duszą ślepą jeszcze, chociaż ożywioną wielkimi pragnieniami służenia Bogu na wszelki sposób wedle tego, co już znała i uważała za dobre. Postanowił więc praktykować wielkie umartwienia nie tyle dla wynagrodzenia za swe grzechy, ile raczej dla przypodobania się Bogu i uradowania go.

Odczuwał tak wielki wstręt do swych przeszłych grzechów i tak żywe pragnienie dokonywania wielkich rzeczy dla miłości Boga, że aczkolwiek nie był dufny w odpuszczenie swoich grzechów, to jednak niewiele poświęcał im uwagi w swoich zamiarach pokutnych.

I tak kiedy sobie przypomniawszy jakąś pokutę, którą czynili święci, postanowił czynić ją także, a nawet jeszcze więcej. W takich myślach znajdował całą swoją pociechę. Nie zwracał przy tym uwagi na żadne rzeczy wewnętrzne, nie pojmował też, czym jest pokora, ani miłość, ani cierpliwość, ani roztropność, która kieruje tymi cnotami i utrzymuje je we właściwej mierze. Jedynym jego zamiarem było dokonywać tych wielkich dzieł i czynów zewnętrznych, ponieważ tak czynili święci dla chwały Boga; nie zważał też na żadne szczegółowe okoliczności i nie brał ich w rachubę.

15. Po drodze przyłączył się do niego pewien Maur jadący na mule. Wdawszy się w rozmowę zaczęli mówić o Najśw. Pannie. Maur powiedział, że chętnie przyjmuje, iż Dziewica poczęła Syna bez udziału mężczyzny, ale że rodząc pozostała dziewicą, w to nie mógł uwierzyć. I przytaczał w tym celu różne racje naturalne, jakie mu się nasuwały. Różne zaś argumenty, jakie mu ze swej strony poddawał Pielgrzym, nie mogły go przekonać. Wreszcie Maur ruszył naprzód z takim pośpiechem, że Pielgrzym wnet stracił go z oczu. Zatopił się w myślach nad tym, co zaszło między nim, a Maurem. Budziły się w nim różne uczucia, które rodziły w jego duszy niezadowolenie, bo wydawało mu się, że nie spełnił swego obowiązku. Odczuwał też w duszy oburzenie przeciw Maurovi, bo mu się zdawało, że źle zrobił pozwalając mu mówić takie rzeczy o Najśw. Pannie. Sądził więc, że jest obowiązany pomścić tę zniewagę jej czci. I powstało w nim wtedy pragnienie, aby ruszyć na poszukiwanie Maura i zadać mu kilka ciosów sztyletem za to, co mówił. Dość długo

walczył z tym pragnieniem, w końcu jednak nie wiedział, jak powinien postąpić. Maur, który pojechał przodem, powiedział mu, że udaje się do pewnej miejscowości położonej niewiele dalej w tym samym kierunku, w pobliżu głównej drogi, która jednak nie przebiegała przez tę miejscowość.

16. Gdy już był znużony badaniem tego, jak należałoby postąpić, nie znajdując pewności, na co się zdecydować, powziął takie postanowienie: oto pozwoli mulicy iść wolno bez cugli aż do miejsca, gdzie drogi się rozdzielały. Jeżeli mulica pójdzie drogą do wioski, odszuka Maura i zada mu cios sztyltem; jeśli zaś będzie się trzymać głównej drogi, zostawi go w spokoju. Zrobił tak, jak postanowił, a Pan nasz zrządził, że mulica trzymała się głównej drogi, choć wieś była odległa o 30 lub 40 kroków, a droga wiodąca do niej szeroka i w dobrym stanie.

Przybywszy do wielkiej osady przed Montserratem chciał tam kupić ubranie, które zamierzał nosić w drodze do Jerozolimy. Kupił więc materiał, z którego robi się worki, grubo tkany i bardzo szorstki. Kazał sobie z niego uszyć suknię, sięgającą mu aż do stóp. Sprawił też sobie kostur pielgrzymi i tykwę na wodę i przytoczył to do siodła mulicy.

Kupił też parę konopnych sandałów, z których wkładał tylko jeden, i to nie dla wyróżnienia się, ale dlatego, że jedną nogę miał obandażowaną i jeszcze chorą do tego stopnia, że choć podróżował wierzchem, zawsze pod wieczór była obrzmiała. Dlatego uważał za konieczne nosić sandał na tej nodze.

Szaty i znamiona Jezusa Chrystusa

17. Podróżował dalej do Montserratu rozmyślając, jak zawsze miał zwyczaj, o wielkich czynach, których zamierzał dokonać dla miłości Boga. A ponieważ umysł miał opanowany całkowicie tymi sprawami zaczerpniętymi z Amadisa de Gaula i z innych podobnych romansów rycerskich, przychodziły mu na myśl niektóre rzeczy podobne do tamtych. I tak postanowił spędzić całą noc na czuwaniu pod bronią, nie siadając ani nie kładąc się, ale już to stojąc, już to klęcząc, przed ołtarzem Naszej Pani z Montserratu. Postanowił też, że tam porzuci swój strój, a oblecze się w szaty i znamiona Chrystusa.

Opuścił więc tę miejscowość i rozmyślał w drodze wedle zwyczaju o swoich zamiarach. Przybywszy do Montserratu (21 III 1522) po modlitwie porozumiał się ze spowiednikiem, następnie odbył spowiedź z całego życia, która przygotowana pisemnie trwała trzy dni. Załatwił też ze spowiednikiem, żeby postarał się o zatrzymanie przy klasztorze jego mulicy, miecz zaś i sztyllet zawiesił w kościele przed ołtarzem Najśw. Panny. Był to pierwszy człowiek, któremu wyjawiał swoje postanowienie, ponieważ aż do tej pory nie mówił o tym żadnemu spowiednikowi.

18. W wigilię święta Zwiastowania Najśw. Panny w marcu 1522 roku udał się w nocy ukradkiem na poszukiwanie jakiegoś żebraka. Zdjąwszy z siebie całe swoje ubranie oddał mu je, a przywdział swoje upragnione odzienie pielgrzymie. Następnie uklęknął przed ołtarzem Matki Boskiej z kosturem w ręce i spędził tam całą noc – już to klęcząc, już to stojąc. Z brzaskiem dnia wyruszył stamtąd, aby go nikt nie poznał. Nie udał się drogą, która wiedzie prosto do Barcelony, bo mógłby na niej spotkać wielu takich, którzy by go poznali i okazali mu uszanowanie, ale skręcił z drogi ku miasteczku, które zwie się Manresa. Zamierzał tam zatrzymać się przez kilka dni w szpi-

talu; chciał bowiem zanotować kilka rzeczy w swojej książce, której strzegł bardzo troskliwie i nosił z sobą czerpiąc z niej wielką pociechę. Gdy już był o milę od Montserratu, przyłączył się doń jakiś człowiek, który biegł za nim szybko, i zapytał go, czy dał swoje ubranie pewnemu żebrakowi, który tak twierdził. Pielgrzym odpowiedział, że tak, a oczy zaszyły mu łzami współczucia dla biedaka, któremu dał swoje szaty, bo domyślił się, że doznał on przykrości jako posądzony o kradzież.

Chociaż bardzo uciekał przed szacunkiem ludzkim, po niedługim jego pobycie w Manresie ludzie zaczęli opowiadać o nim nadzwyczajne rzeczy. To bowiem, co się zdarzyło w Montserracie, dawało okazję do takiej o nim opinii. I wnet rozniosła się wieść przerastająca rzeczywistość, że porzucił bardzo wielkie dochody itd.

III. MANRESA (marzec 1522 – luty 1523)

Udręki ducha

19. W Manresie codziennie chodził żebrać. Nie jadł mięsa, ani nie pijał wina, chociaż mu je dawano. W niedzielę nie pościł, a jeśli otrzymał trochę wina, pił je. A ponieważ stosując się do mody swych czasów zwracał dawniej wiele uwagi na pielęgnację włosów, a były one bardzo piękne, postanowił teraz pozwolić im rósć zgodnie z naturą, nie czesząc ich ani nie strzygąc, ani też wcale nie nakrywając głowy zarówno w dzień, jak i w nocy. Dla tej samej racji pozwolił rósć paznokciom u rąk i u nóg, ponieważ dawniej zbyt się o to troszczył.

Podczas pobytu w tym szpitalu zdarzyło mu się wiele razy widzieć za dnia w powietrzu tuż obok siebie pewne zjawisko, które dawało mu wiele pociechy, było bowiem nadzwyczaj piękne. Nie rozpoznawał dobrze, co to jest, ale w pewien sposób wydawało mu się, że ma kształt węża z wielką ilością punktów błyszczących jakby oczy, chociaż nie były to oczy. Widok tej rzeczy sprawił mu wiele przyjemności i pociechy. Im więcej razy ją widział, tym bardziej wzrastała jego pociecha, a kiedy znów ta rzecz zniknęła, doznawał z tego powodu przykrości.

20. Aż do tego czasu trwał jakby w jednym i tym samym wewnętrznym stanie wielkiej i niezmiennej radości, nie mając jednak żadnej znajomości rzeczy wewnętrznych i duchowych. W czasie kiedy trwało to widzenie, albo krótko przed tym, zanim się zaczęło, trwało ono bowiem przez wiele dni, nachodziła go myśl uparta, która go dręczyła, przedstawiając mu trudności jego obecnego życia. Było to tak, jakby mu ktoś mówił w duszy: „Jak będziesz mógł znosić takie życie przez 70 lat, które masz przeżyć?” Ale on czując, że ta myśl pochodzi od nieprzyjaciela, odpowiadał na nią wewnętrznie z wielką mocą: „O nędzniku! Czy możesz mi obiecać choćby jedną godzinę życia?” I tak zwyciężył tę pokusę i odzyskał spokój. To była pierwsza pokusa, która nań przyszła po tym, co się wyżej rzekło. A stało się to wtedy, kiedy wchodził do kościoła, gdzie codziennie słuchał mszy konwentualnej, nieszpórów, i komplety. Wszystkie nabożeństwa były śpiewane i znajdował w nich wiele pociechy. Podczas mszy św. czytał zazwyczaj Mękę Pańską. I tak żył wciąż w tym samym równym stanie ducha.

21. Ale wnet po wyżej wspomnianej pokusie zaczął doznawać w duszy wielkich zmian. Raz odczuwał w sobie taką jałowość, że nie znajdował smaku w modlitwach chórowych, ani w słuchaniu mszy św. ani w żadnej innej modlitwie, jakiej się oddawał. Kiedy indziej znowu działo się z nim coś wręcz przeciwnego i to tak nagle, iż zdawało mu się, że ktoś zdejmował z niego smutek i

oschłość, jak się zdejmuje człowiekowi płaszcz z ramion. Zaczął się więc niepokoić tymi zmiennymi stanami, których nigdy przedtem nie doświadczył. Pytał zatem sam siebie: A cóż to jest za nowy rodzaj życia, jaki teraz rozpoczynamy?...

W tym okresie rozmawiał kilkakrotnie z osobami duchownymi, które mu okazywały zaufanie i pragnęły z nim przestawać. Bo aczkolwiek nie miał żadnej znajomości rzeczy duchownych, to jednak w swoim sposobie mówienia przejawiał wiele zapału i wiele dobrej woli do postępowania wciąż naprzód w służbie Bożej. Była wtedy w Manresie pewne niewiasta w podeszłym wieku, która od dawna służyła Bogu i była z tego powodu dobrze znana w różnych stronach Hiszpanii. Nawet Król Katolicki wezwał ją raz do siebie, aby jej się zwierzyć z pewnych rzeczy. Otóż niewiasta owa rozmawiając raz z tym nowym żołnierzem Chrystusa tak się do niego odezwała: „Oby się spodobało Panu mojemu, Jezusowi Chrystusowi, ażeby ci się zechciał pewnego dnia objawić”. A on biorąc dosłownie tę jej wypowiedź przeraził się bardzo: „Jak to, zawołał, Jezus Chrystus miałby się właśnie mnie objawić?”. Nadal trzymał się stale swoich zwykłych praktyk pobożnych – spowiedzi i Komunii św. w każdą niedzielę.

Skrupuły

22. Ale z racji tych właśnie praktyk przyszło mu wiele ucierpieć z powodu skrupułów. Bo chociaż swą spowiedź generalną w Montserracie odbył z wielką starannością i w całości na piśmie, jak to już wyżej powiedziano, niemniej zdawało mu się niekiedy, że nie wyznał pewnych rzeczy i to go bardzo dręczyło. I chociaż znów się z tego spowiadał, nie czuł się zadowolony. Zaczął więc szukać mężów duchownych, którzy by go wyleczyli z tych skrupułów. Ale nic mu nie pomagało. Wreszcie pewien doktor przy katedrze, człowiek bardzo duchowny, który głosił kazania w tym kościele, poradził mu raz przy spowiedzi, żeby spisał to wszystko, co tylko może sobie przypomnieć. Zrobił tak, ale po spowiedzi znów nachodziły go skrupuły i za każdym razem bardziej drobiazgowe, tak iż był bardzo udręczony. Wiedział on dobrze, że te skrupuły były dlań szkodliwe i że byłoby dobrze pozbyć się ich, ale nie mógł się z nimi uporać. Myślał też niekiedy, że byłoby dla niego lekarstwem, gdyby spowiednik w imię Jezusa Chrystusa zakazał mu spowiadać się z jakiegokolwiek rzeczy należącej już do przeszłości. Bardzo pragnął takiego zakazu, ale nie śmiał powiedzieć tego spowiednikowi.

23. I chociaż tego sam nie powiedział spowiednikowi, ten samorzutnie polecił mu, żeby się nie spowiadał z żadnej rzeczy przeszłej, chyba że jakaś rzecz byłaby bardzo jasna i pewna. A ponieważ jemu wszystkie te rzeczy wydawały się bardzo jasne, nie odniósł żadnego pożytku z tego polecenia i dalej się dręczył.

W owym czasie mieszkał wzmiankowany Pielgrzym w pokoju, który mu dali dominikanie w swoim klasztorze. Wytrwale oddawał się modlitwie po 7 godzin dziennie, na kolanach, wstając co dzień o północy, i wszystkim innym ćwiczeniom pobożnym wyżej wymienionym. Ale w tym wszystkim nie znajdował żadnego lekarstwa na swe skrupuły, które go męczyły przez kilka miesięcy. Pewnego razu, gdy był szczególnie udręczony, zaczął się modlić i w zapale głośno wołać do Boga mówiąc: „Pomóż mi, Panie, bo nie znajduję żadnego lekarstwa u ludzi, ani u żadnego innego stworzenia. Gdybym sądził, że będę mógł je znaleźć, żaden trud nie byłby dla mnie za wielki. Ukaż mi, Panie, gdzie mógłbym znaleźć lekarstwo! Choćbym miał biegnąć za szczeniciem, żeby od niego otrzymać pomoc, uczyniłbym to”...

24. Gdy był zajęty tymi myślami, nachodziła go często gwałtowna pokusa, żeby się rzucić w dół przez wielki otwór, który był w jego pokoju blisko miejsca, gdzie zwykle się modlił. Ale wiedząc, że byłoby to grzechem zabić samego siebie, zaczynał wołać do Pana: „Panie, nie uczynię tego, co Ciebie obraża”! I powtarzał te słowa i tamte poprzednie wiele razy. Przyszła mu też raz na myśl historia pewnego świętego, który dla uzyskania od Boga bardzo upragnionej rzeczy przez wiele dni nic nie jadł, dopóki nie uzyskał tego, o co prosił. Myślał o tym przez dłuższy czas i w końcu zdecydował się postąpić tak samo, mówiąc sobie, że nie będzie nic jadł ani pił tak długo, aż Bóg mu pomoże, albo gdy poczuje się bliski śmierci. Bo jeśliby się już widział „in extremis”, to znaczy, że umarłby zaraz, gdyby nie jadł, to był zdecydowany poprosić o chleb i pożywić się (jakby w takiej krańcowej sytuacji mógł jeszcze o coś prosić lub coś jeść).

25. Ta jego decyzja zapadła w pewną niedzielę po Komunii św. Przez cały następny tydzień wytrwał w niej nie biorąc do ust ani kęsa strawy. Nie opuszczał jednak nic ze swoich zwyczajnych ćwiczeń pobożnych – jak chodzenie do Kościoła na nabożeństwa, odprawianie modlitwy na kolacjach, nawet o północy itp. Tak nadeszła następna niedziela, kiedy miał iść do spowiedzi. A ponieważ miał zwyczaj mówić spowiednikowi szczegółowo o wszystkim, co czynił, powiedział i o tym, że przez ten tydzień nic nie jadł. Spowiednik nakazał mu przerwać ten post. A on, choć czuł się jeszcze na siłach, posłuchał go i tego dnia i następnego był wolny od skrupułów. Ale trzeciego dnia, we wtorek, zaczął sobie podczas modlitwy przypominać swoje grzechy. I tak jakby po nitce do kłębka przechodził jeden po drugim wszystkie swoje przeszłe grzechy i sądził, że ma obowiązek wyznać je na nowo. A pod koniec tych rozważań ogarnął go niesmak do życia, które prowadził, oraz gwałtowna chęć, aby je porzucić. I wtedy spodobało się Panu sprawić, że obudził się jakby ze snu. A ponieważ dzięki pouczeniom, jakie mu Bóg dawał, miał już pewne doświadczenie w rozeznawaniu duchów, zaczął zastanawiać się, w jaki sposób ten duch zły go opanował. Z wielką jasnością poznania postanowił więc nigdy już nie spowiadać się z rzeczy przeszłych. I od tego dnia był wolny od swoich skrupułów, mając równocześnie tę pewność, że to Pan nasz zechciał go w swym miłosierdziu od nich wyzwolić.

Spokój duszy

26. Poza swoimi siedmioma godzinami modlitwy zajmował się jeszcze niesieniem pomocy niektórym duszom, które przychodziły do niego w sprawach duchownych. A resztę dnia, która mu pozostawała wolna, poświęcił rozważaniom o rzeczach Bożych, o tym, co w danym dniu rozmyślał lub czytał. A kiedy kładł się spać, miał często wielkie oświecenia i wielkie pociechy duchowe, tak że na skutek tego tracił wiele czasu przeznaczonego na sen, a którego zresztą nie było wiele. Zastanawiając się nad tym wiele razy powiedział sobie, że do obcowania z Bogiem miał przecież cały ten czas, który sobie wyznaczył, a nadto całą resztę dnia. I dlatego zaczął powątpiewać, czy te oświecenia pochodzą od ducha dobrego, i wreszcie doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie zajmować się nimi i spać przez ten czas, który sobie wyznaczył. I tak też uczynił.

27. W dalszym ciągu wstrzymywał się od jedzenia mięsa. Było to jego mocne postanowienie, którego w żaden sposób nie zamierzał zmieniać. Otóż pewnego dnia rano kiedy wstał z łóżka, ujrzał kawałek mięsa przygotowany do spożycia. Widział go jakby oczami ciała, choć uprzednio nie

miął wcale apetytu na mięso. Teraz do tej wizji dołączyły się silna skłonność woli, żeby odtąd jadać mięso. I aczkolwiek przypominał sobie swoje poprzednie postanowienie, nie mógł wątpić o tym, że powinien zdecydować się na jądanie mięsa. Następnie opowiedział o tym swemu spowiednikowi, który mu polecił zbadać dobrze, czy to nie jest pokusa. Ale on zważywszy wszystko dobrze nie mógł tu mieć żadnych wątpliwości.

W Bożej szkole (sierpień – wrzesień 1522)

W tym czasie Bóg obchodził się z nim podobnie jak nauczyciel w szkole z dzieckiem i pouczał go. Działo się tak zapewne z powodu tego, że umysł jego był jeszcze zbyt prosty i niewyrobiony, albo może dlatego, że nie miał nikogo, kto by go pouczył, a może też i dlatego, że otrzymał od Boga zdecydowaną wolę służenia mu: w każdym razie było jasne i zawsze tak sądził, że Bóg traktował go w ten właśnie sposób. Owszem, gdyby o tym wątpił, sądziłby, że obraża tym jego Boski Majestat. Coś z tego pouczenia Bożego można poznać w tych pięciu punktach, które następują.

28. Po pierwsze. Miał on wielkie nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszej i codziennie odmawiał modlitwę do trzech Osób Boskich osobno. A ponieważ nadto modlił się do Trójcy Świętej odmawiając jeszcze inną modlitwę, zaczął się zastanawiać nad tym, jak może odmawiać cztery modlitwy do Trójcy Świętej. Ale ta myśl jako rzecz małej wagi niewiele sprawiała mu kłopotu. Pewnego dnia, gdy odmawiał oficjum o Matce Boskiej na schodach tegoż klasztoru, jego umysł zaczął się wznosić ku górze i ujrzał Przenajświętszą Trójcę jakby pod postacią trzech klawiszy organu, a to z tak obfitymi łzami i z takim łkaniem, że nie mógł zapanować nad sobą. Tegoż ranka, przyłączywszy się do procesji wychodzącej z klasztoru, nie mógł powstrzymać łez aż do obiadu. A po posiłku nie mógł mówić o niczym innym tylko o Trójcy Przenajświętszej, a używał przy tym mnóstwa różnych porównań, doznając w tym radości i pociechy. I już na całe życie pozostało mu to wrażenie, tak iż doznawał wielkiej pobożności, ilekroć modlił się do Trójcy Św.

29. Po drugie. Pewnego razu przedstawił się jego umysłowi sposób, w jaki Bóg stworzył świat; a towarzyszyły temu wielka radość duchowa. Zdawało mu się, że widzi jakąś rzecz białą, z której wytryskiwało kilka promieni i z których Bóg uczynił światłość. Ale tych rzeczy nie umiał wytłumaczyć, ani już sobie nie przypominał dobrze oświeceń duchowych, których Bóg wtedy udzielił jego duszy.

Po trzecie. Jeszcze w Manresie, gdzie przebywał prawie rok, odkąd zaczęły się te pociechy Boże i odkąd widział owoce, jakie przynosił w duszach, z którymi przestawał, zaprzestał tych krańcowych surowości, którym się przedtem oddawał. Odtąd obcinał paznokcie i strzygł włosy. Kiedy pewnego dnia jeszcze w tym miasteczku był w kościele wspomnianego klasztoru, aby wysłuchać mszy św., w chwili podniesienia Ciała Pańskiego, widział oczyma wewnętrznymi jakby promienie białe idące z góry. I chociaż po tak długim czasie nie mógłby tego dobrze wytłumaczyć, to jednak widział jasno zmysłem swoim, jak Pan nasz Jezus Chrystus jest obecny w tym Najświętszym Sakramencie.

Po czwarte. Wiele razy i przez długi czas widział podczas modlitwy oczyma wewnętrznymi człowieczeństwo Jezusa Chrystusa. Kształt, który mu się objawiał, był jak ciało białe, ani bardzo wielkie, ani też bardzo małe, i nie rozróżniał w nim członków. Widział to w Manresie wiele razy.

Jeśliby powiedział, że 20 albo 40 razy, nie odważyłby się twierdzić, że skłamał. Innym razem widział to samo w Jerozolimie, a jeszcze innym razem kiedy był w drodze w pobliżu Padwy.

Widział także Najświętszą Pannę w podobnym kształcie, nie rozróżniając części ciała. Widzenia te utwierdzały go i dały mu na zawsze taką pewność we wierze, że często mówił sam do siebie: Choćby nie było Pisma Św., które nas poucza o tych rzeczach wiary, on byłby zdecydowany umrzeć za nie tylko dlatego, że je widział.

30. Po piąte. Pewnego razu szedł powodowany uczuciem pobożności do kościoła, który jest odległy od Manresy trochę więcej niż o milę i – jak mi się zdaje – pod wezwaniem św. Pawła Pustelnika. Droga prowadziła tuż nad rzeką. I kiedy tak szedł zatopiony w swoich modlitwach, usiadł na chwilę zwrócony twarzą ku rzece, która płynęła głęboko w dole, i gdy tam tak siedział, zaczęły się otwierać oczy jego umysłu. Nie znaczy to, że oglądał jakąś wizję, ale że zrozumiał i poznał wiele rzeczy tak duchownych, jak i odnoszących się do wiary i wiedzy. A stało się to w tak wielkim świetle, że wszystko wydało mu się nowe. To, co wtedy pojął, nie da się szczegółowo wyjaśnić, choć było tego bardzo wiele. Otrzymał wtedy tak wielką jasność dla umysłu i do tego stopnia, że jeśli rozważy cały życie swoje aż do 62 roku życia, i jeśli zbierze razem wszystkie pomoce otrzymane od Boga i wszystko to, czego się nauczył, i choćby to wszystko zebrał w jedno, to i tak nie sądzi, żeby to wszystko dorównywało temu, co wtedy otrzymał w tym jednym przeżyciu.

Stało się to w ten sposób, że w umyśle jego pozostała taka jasność, iż mu się zdawało, że stał się innym człowiekiem, i że posiada inny umysł niż ten, który miał przedtem.

31. Trwało to przez dobrą chwilę, a potem poszedł uklęknąć pod krzyżem, który był w pobliżu, aby podziękować Bogu. Tam ukazało mu się to widzenie, które miał przedtem wiele razy, a którego nigdy nie rozumiał, a mianowicie ta rzecz, o której była wyżej mowa, i która wydawała mu się bardzo piękna i miała wiele oczu. Lecz tam pod krzyżem widział dobrze, że nie miała tak pięknego koloru jak zwykle. I rozumiał bardzo jasno i przy pełnej zgodzie woli, że był to szatan. I potem także wiele razy i przez długi czas zwykł mu się zjawiać, ale on na znak pogardy odpędzał go kosturem, który zwykle miał w ręce.

W obliczu śmierci

32. Pewnego razu chorował w Manresie. Bardzo silna gorączka o mało nie przyprowadziła go o śmierć, tak że wydawało mu się rzeczą jasną, że zaraz odda ducha. Wtedy to przyszła mu myśl, która mu podszeptowała, że jest człowiekiem sprawiedliwym i świętym. Myśl ta tak go dręczyła, że nic innego nie robił, tylko ją odpychał przeciwstawiając jej swoje dawne grzechy. Walka ta więcej go zmęczyła niż sama gorączka. I nie mógł tej myśli przezwyciężyć mimo wielu wysiłków, aby ją przemóc. A kiedy gorączka nieco opadła i już nie był w niebezpieczeństwie śmierci, zaczął głośno wołać do kilku pań, które przyszły go odwiedzić, żeby dla miłości Boga, gdyby go kiedyś ujrzały bliskim śmierci, krzyczały doń głośno, że jest grzesznikiem i żeby sobie przypominał to wszystko, czym Boga obraził.

33. Innym razem gdy płynął morzem z Walencji do Italii w czasie wielkiej burzy, ster okrętu uległ złamaniu i sytuacja stała się tak krytyczna, że jego zdaniem i zdaniem wielu, którzy byli na

okręcie, nie można już było uniknąć śmierci przy pomocy ludzkich środków. I kiedy w tamtej chwili badał swoje sumienie i przygotowywał się na śmierć, nie mógł doznać lęku z powodu swoich grzechów, ani obawiać się potępienia; odczuwał natomiast wielki wstyd i ból, ponieważ sądził, że niedobrze używał darów i łask otrzymanych o Boga i Pana naszego.

Innym znów razem w roku 1550 czuł się źle z powodu ciężkiej choroby, która jego zdaniem i zdaniem wielu innych miała być jego ostatnią chorobą. Sama myśl o śmierci w owym czasie napętniała go tak wielką radością i taką pociechą duchową, że cały rozpływał się we łzach. Przeżycie to powracało tak często, że wiele razy unikał wprost myśli o śmierci, aby nie doznawać tej pociechy.

34. Z nadejściem zimy znów rozchorował się ciężko w Manresie, a zarząd miejski dla zapewnienia mu opieki przeniósł go do domu ojca niejakiego Ferrera, który potem był na służbie u Baltazara de Faria. Opiekowano się nim bardzo troskliwie. Wiele dam z dobrych domów, żywiąc dlań wielką cześć, przychodziło czuwać nad nim w nocy. Podniósłszy się z tej choroby był jeszcze bardzo słaby i cierpiał na częste bóle żołądka. Dla tych racji, a nadto ponieważ zima była bardzo sroga, nakłoniono go, aby się ubrać ciepło, nosił obuwie i nakrywał głowę. Skłoniono go też do przyjęcia dwóch sukni z grubego szarego sukna i czapki z takiegoż materiału, coś w rodzaju beretu.

W tym czasie bywały często takie dni, kiedy miał wielkie pragnienie, aby prowadzić rozmowy duchowne i znaleźć osoby, które byłyby zdolne do tego. Tymczasem powoli zbliżała się pora, w której miał zamiar wyruszyć do Jerozolimy.

Przygotowanie do pielgrzymki do Ziemi Świętej (18 lutego – koniec marca 1523)

Stan duszy

35. Tak więc z początkiem roku 1523 udał się do Barcelony, aby tam wsiąść na okręt. I choć niektórzy ofiarowali mu swe towarzystwo, on chciał podróżować samotnie. Bo najważniejszą rzeczą dla niego było mieć schronienie w samym tylko Bogu. Pewnego dnia nalegano na niego bardzo, żeby wziął ze sobą towarzysza, po przeciwieństwie nie umie ani po włosku, ani po łacinie. Mówiono mu, że to by mu bardzo pomogło i zachwalano takiego towarzysza. A on im na to odparł, że gdyby nawet chodziło o syna lub ojca księcia Cardona, nie poszedłby w ich towarzystwie. Chciał bowiem mieć te trzy cnoty: miłość, wiarę i nadzieję. Gdyby zaś wziął ze sobą towarzysza, to w wypadku głodu od niego oczekiwałby pomocy; a gdyby upadł, od niego spodziewałby się podpory dla podźwignięcia się. I tak dla tych racji w nim pokładałby swą nadzieję i do niego byłby przywiązany. A tymczasem to zaufanie i przywiązanie i nadzieję chciał mieć tylko w samym Bogu. I to, co w ten sposób wyraził, czuł naprawdę w swoim sercu.

Stosownie do tych myśli pragnął wsiąść na okręt nie tylko sam, bez towarzysza, ale nawet bez żadnego zaopatrzenia. Zaczął więc omawiać sprawę swego przejazdu okrętem i uzyskał od pewnego właściciela okrętu obietnicę darmowego przejazdu, ponieważ nie miał pieniędzy, ale pod tym warunkiem, że przyniesie z sobą na okręt pewną ilość sucharów jako swą żywność; w przeciwnym razie za nic w świecie nie przyjmie go na okręt.

36. Kiedy więc chciał kupić sucharów, naszły go wielkie skrupuły: To taka jest twoja ufność i wiara pokładana w Bogu, że on cię nie zawiedzie? itd. I z taką siłą uderzyły nań te skrupuły, że bar-

dzo był udręczony. Wreszcie nie wiedząc co począć, bo z jednej i z drugiej strony widział dobre racje prawdopodobieństwa, postanowił oddać się w ręce swego spowiednika. Wyznał mu więc, jak bardzo pragnie postępować drogą doskonałości i czynić to, co więcej przyczynia się do chwały Bożej, i jakie były racje, dla których wahał się, czy powinien zabrać z sobą żywność. Spowiednik zdecydował, żeby użebrął to, co jest konieczne i zabrał ze sobą.

Kiedy zwrócił się z tą prośbą do pewnej pani, ta zapytała go, dokąd się wybiera okrętem. On zaś wahał się trochę, czy ma to powiedzieć. W końcu nie odważył się powiedzieć jej więcej nad to, że udaje się do Italii, do Rzymu. A ona jakby zaskoczona rzekła doń: „Do Rzymu chcesz iść? Ci, co tam się udają, nie wiem, w jakim stanie stamtąd powracają”... (Chciała przez to powiedzieć, że w Rzymie mało się postępuje w duchu). Powodem zaś, dla którego nie śmiał wyznać, że udaje się do Jerozolimy, był lęk próżnej chwały. Ten lęk tak go dręczył, że nigdy nie odważył się powiedzieć z jakiego kraju, ni z jakiego rodu pochodzi.

Ostatecznie zdobywszy suchary wsiadł na okręt. Ale przedtem, jeszcze na wybrzeżu, znalazłszy przy sobie 5 albo 6 groszy blancas, które mu zostały z tego, co chodząc od drzwi do drzwi użebrął (taki był bowiem jego sposób życia), zostawił je na ławce, która się tam znajdowała blisko wybrzeża.

37. Spędziwszy w Barcelonie nie wiele więcej niż 20 dni wsiadł (ok. 15 marca) na okręt. Podczas tego pobytu w Barcelonie przed odjazdem szukał według swego zwyczaju osób duchownych, nawet jeśli żyły w pustelniach z dala za miastem, ażeby z nimi rozmawiać. Ale ani w Barcelonie, ani w Manresie przez cały ten czas, kiedy tam był, nie znalazł nikogo, kto by mu tak pomógł, jak on tego pragnął, za wyjątkiem tej niewiasty z Manresy, o której wyżej była mowa, a która mu mówiła, że prosiła Boga, aby Jezus Chrystus mu się objawił. Wydawało mu się, że tylko ona jedna wniknęła głębiej w rzeczy duchowne. Przeto po wyjeździe z Barcelony poniechał całkowicie tego chciwego szukania osób duchownych.

IV. PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

W Italii (koniec marca – 24 lipca 1523)

38. Mieli w tej podróży tak silny wiatr od rufy, że w ciągu pięciu dni i nocy przebyli drogę z Barcelony do Gaety, ale też wszyscy byli w wielkim strachu z powodu tak wielkiej nawałnicy. W całej tej okolicy obawiano się zarazy. Ale on, gdy tylko wysiadł z okrętu, udał się w drogę do Rzymu. Spośród tych, co płynęli tym samym okrętem, przyłączyły się do niego pewna matka z córką przebraną za chłopca i jeszcze jeden młody chłopak. Szli oni razem z nim, bo i oni żyli z jałmużny. Kiedy przybyli do pewnej zagrody wiejskiej, zastali tam wielkie ognisko, a dookoła niego wielu żołnierzy, którzy dali im jeść i dużo wina; zachęcali ich też do picia, tak iż zdawało się, że mieli zamiar ich upić. Potem ich rozłaczyli. Matkę z córką umieścili w pokoju na górze, a Pielgrzyma z chłopcem w stajni. Kiedy nadeszła północ, usłyszał głośnie krzyki pochodzące z pokoju na górze. Wstał, aby zobaczyć, co by to było, i znalazł matkę z córką na dole na podwórzu, obie zapłakane i skarżące się, że chciano je zgwałcić. Na to opanował go tak wielki gniew, że zaczął krzyczeć do żołnierzy w te słowa: Czyż można coś podobnego tolerować! I inne podobne słowa mówił, i to z taką siłą, że wszyscy ludzie z tego domu byli wstrząśnięci i nikt mu nie zrobił

najmniejszej krzywdy. Ponieważ chłopiec już uciekł, więc oni w trójkę puścili się w drogę jeszcze w nocy.

39. Przybyli do jednego miasta, które było w pobliżu, ale znaleźli bramy zamknięte. Nie mogąc wejść spędzili tę noc w kościele, który się tam znajdował i przeciekał od deszczu. Rano nie chciano im otworzyć bramy miejskiej. Poza murami miasta nie znaleźli jałmużny, chociaż udali się do pewnego zamku, który widać było w pobliżu. Tam Pielgrzym poczuł się bardzo źle i słabo wskutek trudów podczas przeprawy morzem i późniejszej drogi. Nie mogąc dalej wędrować pozostał tam, a matka z córką udały się do Rzymu. Tego dnia wielu ludzi wyszło z miasta. A ponieważ on wiedział, że przybędzie tam dziedziczka tych włości, wyszedł jej naprzeciw i powiedział jej, że był chory z samego tylko osłabienia, a nie z zarazy i prosił ją, aby mu pozwoliła wejść do miasta i poszukać tam sobie jakiejś pomocy. Bez trudności udzieliła mu tego pozwolenia. Kiedy zaczął zbierać po mieście, otrzymał dużo kwadrantów. Odpocząwszy tam przez dwa dni podjął na nowo swą podróż i przybył do Rzymu w Niedzielę Palmową.

40. Tam wszyscy, którzy z nim rozmawiali, wiedząc, że nie miał pieniędzy na drogę do Jerozolimy, zaczęli mu odradzać tę podróż. Twierdzili, przytaczając wiele racji, że jest rzeczą niemożliwą znaleźć bez pieniędzy miejsce na okręcie. Ale on zachował w swej duszy wielką pewność i nie mógł wątpić, że znajdzie sposób dostania się do Jerozolimy. Otrzymawszy błogosławieństwo od papieża Adriana VI ruszył do Wenecji ósmego lub dziewiątego dnia po Wielkanocy. Miał on przy sobie 6 lub 7 dukatów, które mu dano na przejazd z Wenecji do Jerozolimy. Przyjął je pod wpływem obawy, że w inny sposób nie będzie mógł przeprawić się przez morze. Ale po dwóch dniach od wyruszenia z Rzymu zaczął pojmować, że uległ nieufności, która go opanowała. Bardzo zatem żałował, że przyjął te dukaty i pomyślał, czy by nie było dobrze pozbyć się ich. Ostatecznie zdecydował się rozdać je hojnie napotkanym ludziom, a zazwyczaj byli to żebracy. I tak też uczynił. Kiedy potem przybył do Wenecji (ok. 14 V 1523) miał przy sobie tylko parę groszy, które były mu potrzebne na tę pierwszą noc.

41. Podczas tej drogi do Wenecji sypiał pod arkadami domów, a to ze względu na strażników czuwających nad bezpieczeństwem z powodu grasującej zarazy. Pewnego razu zdarzyło mu się, że wstając rano natknął się na jakiegoś człowieka, który na jego widok przeraził się bardzo i uciekł pośpiesznie. Musiał mu się wydać bardzo blady... Wędrując tak przybył do Chioggia z kilkoma towarzyszami, którzy przyłączyli się do niego; tam dowiedział się, że ich nie wpuszczą do Wenecji. Towarzysze postanowili iść do Padwy, aby tam uzyskać świadectwo zdrowia; on także wyruszył z nimi, ale nie mógł nadążyć, bo szli bardzo szybko. Z nastaniem nocy zostawili go samego w wielkim pustkowiu. Kiedy tam się znajdował, ukazał mu się Chrystus w ten sam sposób, w jaki mu się zwykł ukazywać i jak wyżej opowiedzieliśmy, i bardzo go pokrzepił na duchu. Tak pokrzepiony przybył rankiem dnia następnego do bram Padwy i bez podrabiania świadectwa zdrowia, jak to – sędzę – uczynili jego towarzysze, wszedł do miasta nie pytany o nic przez strażników. To samo było i przy wyjściu z miasta. Jego towarzysze byli tym bardzo zaskoczeni, oni bowiem postarali się o świadectwa, by móc iść do Wenecji, on zaś wcale się nie troszczył o to świadectwo.

Podróż morską do Palestyny

42. Gdy przybyli do Wenecji, strażnicy podeszli do ich barki, ażeby zbadać wszystkich jednego po drugim, ilu ich tylko było w tej barce. I tylko jego jednego pominęli. W Wenecji utrzymywał się z jałmużny, a sypiał na placu św. Marka. Nigdy nie chciał udać się do domu ambasadora cesarskiego, ani też nie wykazywał szczególnej pilności w poszukiwaniu środków na podróż morską. W duszy bowiem miał wielką pewność, że Bóg wskaże mu sposób, aby mógł udać się do Jerozolimy. I to go tak pokrzepiało w nadziei, że żadne racje i żadne obawy, które mu przedkładano, nie mogły w nim wzbudzić wątpliwości.

Pewnego dnia zatrzymał go jakiś bogaty Hiszpan, i spytał go, co tu robi i dokąd zamierza się udać. Poznawszy jego zamiar wziął go do siebie na obiad i zatrzymał go przez kilka dni, aż wszystko było gotowe do odjazdu. Od czasów Manresy Pielgrzym miał taki zwyczaj, że kiedy spożywał posiłek z innymi, nigdy nie zabierał głosu przy stole, chyba tylko, żeby odpowiedzieć krótko na pytanie; słuchał natomiast tego, co mówiono, i zwracał uwagę na niektóre rzeczy, z których brał potem okazję do mówienia o Bogu, co też i czynił po skończonym posiłku.

43. I to właśnie było przyczyną, dla której ten zacny człowiek i cała jego rodzina przywiązali się do niego tak, iż chcieli go zatrzymać i zmuszali go, aby pozostał u nich. Tenże jego gospodarz zaprowadził go do doży weneckiego, żeby z nim pomówił, to znaczy wystarał mu się o wejście do pałacu i o audiencję. Doża wysłuchawszy Pielgrzyma wydał polecenie, żeby mu dano miejsce na okręcie rządowym, wiozącym gubernatorów, którzy udawali się na Cypr.

Chociaż w tym roku przybyło wielu pątników z zamiarem udania się do Jerozolimy, to jednak większość z nich powróciła do swej ojczyzny z powodu nowej sytuacji, jaka się wytworzyła po zajęciu przez Turków wyspy Rodos. Jednakże trzynastu z nich znajdowało się na okręcie pątniczym, który wyruszył pierwszy, a ośmiu lub dziewięciu zostało na okręcie gubernatorów. Okręt ten był już gotów do odjazdu, gdy nagle nasz Pielgrzym zapadł ciężko na gorączkę. Dręczyła go ona przez kilka dni, a potem go opuściła. Okręt wychodził w morze akurat tego dnia, w którym Pielgrzym wziął lekarstwo na przeczyszczenie. Ci, którzy go gościli u siebie, pytali lekarza, czy może on udać się w podróż morską do Jerozolimy, a lekarz powiedział, że jeżeli ma tam być pogrzebany, to może jechać... On jednak wszedł na okręt i tego samego dnia (24 VII 1523) odpłynął. Wymiotował bardzo, ale poczuł się lepiej i zaczął zupełnie wracać do zdrowia. Na tym okręcie popełniono jawnie pewny czyn nieskromne i obrzydliwe, a które on surowo karmił.

44. Hiszpanie, którzy z nim podróżowali, radzili mu, żeby tego zaniechał, ponieważ załoga okrętu zmawiała się, żeby go zostawić na jakiejś wyspie. Ale Pan nasz pozwolił, że szybko dobili do Cypru, tam podróżni opuściwszy okręt udali się drogą lądową do innego portu oddalonego o 10 mil, a który zwie się Las Salinas. Tam wsiedli (19 VIII 1523) na okręt pątniczy, na który Pielgrzym nie wniósł ze sobą żadnych innych zasobów prócz nadziei w Bogu, jak to uczynił i poprzednim razem. Przez cały ten czas Pan nasz objawiał mu się często i udzielał mu wiele pociechy i siły. Zdawało mu się, że widział jakiś przedmiot okrągły i wielki jakby ze złota. To mu się właśnie zjawiało.

W Ziemi Świętej

Po odpłynięciu z Cypru przybyli (31 VIII 1523) do Jaffy. Dosiadłszy osiołków, jak to było w zwyczaju, ruszyli do Jerozolimy. Gdy byli około dwie mile od Jerozolimy, pewien Hiszpan, zdaje się

szlachcic nazwiskiem Diego Manes, powiedział z wielkim uczuciem pobożności do wszystkich pielgrzymów, że wnet dojdą do miejsca, skąd można ujrzeć Święte Miasto, i że będzie dobrze przygotować się wewnątrz i zachować milczenie.

45. Myśl ta wydała się wszystkim dobra i każdy zaczął się skupiać wewnątrz. Krótco przed przybyciem do miejsca, skąd widać było Miasto, zsiadli z osiołków, ponieważ ujrzeli grupę mnichów z krzyżem, którzy na nich już czekali. Ujrawszy Miasto Pielgrzym doznał wielkiej pociechy. I według tego, co inni mówili, pociecha ta była powszechna u wszystkich wraz z radością, która nie wydawała się być naturalna. Tej samej pobożności doświadczał zawsze podczas zwiedzania miejsc świętych.

Pielgrzym powziął mocne postanowienie pozostać w Jerozolimie, aby odwiedzać ustawicznie te miejsca święte. Ale oprócz tej osobistej pobożności miał także zamiar pomagać duszom. W tym celu miał ze sobą listy polecające dla gwardiana. Wręczając je wyznał mu swój zamiar pozostania tam z pobożności, ale nie wspomniał o drugim swoim zamiarze, że chce pomagać duszom, ponieważ o tym nikomu nie mówił. Natomiast pierwszy swój zamiar często wyjawiał. Gwardian odpowiedział mu, że nie widzi, jakby mógł zostać, bo klasztor był w takiej biedzie, że nie mógł utrzymać swoich mnichów i że dla tej racji zdecydował się wysłać kilku z nich razem z pielgrzymami do Europy. Na to Pielgrzym odpowiedział, że nie żąda żadnej rzeczy od klasztoru, tylko, żeby wysłuchano jego spowiedzi, kiedy czasem przyjdzie się wypowiadać. Wobec tego gwardian powiedział mu, że w taki sposób dałoby się to zrobić, ale trzeba poczekać na przybycie prowincjała (sądzę, że był to najwyższy przełożony zakonu w tamtym kraju), który był wtedy w Betlejem.

46. Obietnica ta uspokoiła Pielgrzyma. Zaczął pisać listy do osób duchownych w Barcelonie. Napisał już jeden list i zabrał się do drugiego. – Było to w wigilię wyruszenia pątników w drogę powrotną. Wtedy wezwano go do prowincjała, który już przybył, i do gwardiana. Prowincjał powiedział mu w życzliwych słowach, że dowiedział się o jego dobrym zamiarze pozostania na tych świętych miejscach; że dobrze się nad tą sprawą zastanowił, a doświadczenie nabyte w innych podobnych wypadkach każe mu sądzić, że to nie jest rzeczą stosowną. Wielu miało bowiem to samo pragnienie, ale jeden dostał się do niewoli, inny znów umierał... A nadto zakon był obowiązany wykupywać jeńców. A zatem powinien się przygotować do wyjazdu nazajutrz z innymi pątnikami. Pielgrzym mu na to odpowiedział, że jego postanowienie jest bardzo mocne i że dla żadnej racji nie zaniecha wprowadzić go w czyn. Tym samym dał mu grzecznie do poznania, że choć prowincjał jest innego zdania, to jednak żaden lęk nie skłoni go do porzucenia swego zamiaru, chyba tylko nakaz obowiązujący pod grzechem. Wtedy prowincjał odpowiedział, że mają władzę Stolicy Apostolskiej zmusić do wyjazdu stąd lub zatrzymać tu każdego, jeśli to uznają za słuszne, a nadto mogą ekskomunikować tego, który by nie chciał ich słuchać; w obecnym zaś wypadku sądzą, że nie powinien on tu zostać itd.

47. Kiedy prowincjał chciał mu pokazać bulle, na mocy których mógł go ekskomunikować, Pielgrzym powiedział, że nie musi ich widzieć, bo wierzy ich wielbnościom, a ponieważ oni tak sądzą mając taką władzę, więc będzie im posłuszny.

Załatwiwszy tak tę sprawę gdy wracał na miejsce, gdzie był przedtem, poczuł wielkie pragnienie, żeby ponownie odwiedzić Górę Oliwną, zanim stąd odjedzie, skoro nie było wolą Pana

naszego, żeby został na tych świętych miejscach. Na Górze Oliwnej jest kamień, z którego Pan nasz wstąpił do nieba, i widać na nim jeszcze ślady stóp jego. To właśnie chciał ponownie zobaczyć. Tak więc nie powiedziawszy o tym nikomu i nie biorąc z sobą przewodnika – a ci, co idą bez Turka jako przewodnika narażają się na wielkie niebezpieczeństwo – odłączył się od innych pątników i udał się samotnie na Górę Oliwną. Ale strażnicy nie chcieli mu pozwolić tam wejść. Dał im więc nożyk ze swoich przyborów do pisania, które nosił przy sobie. Potem odprawiając z wielką pociechą modlitwy zapragnął iść do Betfage. Tam sobie przypomniał, że nie dość dobrze obejrzał na Górze Oliwnej, w którą stronę była zwrócona prawa stopa Jezusa, a w którą lewa. Powrócił więc tam i dał strażnikom, o ile wiem, nożyczki, aby mu pozwolili tam wejść.

48. Kiedy w klasztorze dowiedziano się, że poszedł sam bez przewodnika, mnisi zaczęli go szukać z wielką pilnością. A kiedy on już schodził z Góry Oliwnej, natknął się na tzw. „chrześcijanina z pasem”, który służył w klasztorze. Był on bardzo zagniewany i groził mu wielkim kijem, jakby go chciał obić. Podszedłszy do Pielgrzyma chwycił go mocno za ramię, a Pielgrzym nie stawiając żadnego oporu pozwolił się tak prowadzić. Dobry ten człowiek nie puścił go ani na chwilę. W czasie tej drogi, gdy był tak prowadzony przez tego „chrześcijanina z pasem”, otrzymał od Pana naszego wielką pociechę, bo mu się zdawało, że widzi wciąż Chrystusa nad sobą. Widzenie to trwało, darząc go wielką obfitością pociechy, aż do przybycia do klasztoru.

V. DROGA POWROTNA DO EUROPY (23 września 1523 – około 15 stycznia 1524)

49. Następnego dnia pątnicy wyruszyli w drogę powrotną, a przybywszy na Cypr rozdzielili się na różne okręty. Były bowiem w porcie trzy albo cztery okręty mające płynąć do Wenecji. Jeden był turecki, drugi bardzo mały, trzeci zaś, bogaty i potężny, należał do pewnego bogatego Wenecjanina. Pątnicy prosili kapitana tego właśnie okrętu, aby zechciał wziąć na pokład Pielgrzyma. Ale on, kiedy się dowiedział, że Pielgrzym nie ma pieniędzy, nie zgodził się, choć wielu go o to prosiło i chwaliło Pielgrzyma itd. Na te pochwały kapitał odpowiedział, że jeśli to jest tak wielki święty, to niech się przeprawi przez morze jak św. Jakub lub też coś innego w tym rodzaju. Ale ci sami życzliwi ludzie, którzy wstawiali się za nim, bardzo łatwo uzyskali zgodę kapitana małego okrętu.

Rankiem pewnego dnia płynęli mając pomyślny wiatr; ale po południu nadeszła burza i rozdzieliła okręty jedne od drugich. Wielki okręt zatonął obok grupy wysepek tuż w pobliżu Cypru i tylko ludzie się uratowali. Okręt turecki też zginął w tej burzy wraz z całą załogą. A i mały okręt wiele ucierpiał od burzy, ale ostatecznie dobił do lądu w Apulii. Było to podczas srogiej zimy, tak że było bardzo zimno i padał śnieg. Pielgrzym miał na sobie tylko spodnie z grubego sukna, które sięgały mu do kolan zostawiając nogi gołe, nadto trzewiki i kurtkę z czarnego sukna, która się nie zapinała i była na ramionach bardzo podarta, oraz krótki płaszcz mocno już wytarty.

50. Do Wenecji przybył w połowie stycznia 1524 r., spędziwszy na morzu od wyjazdu z Cypru cały listopad, grudzień i część stycznia. W Wenecji odnalazł go jeden z tych dwóch gospodarzy, którzy go gościli u siebie przed wyjazdem do Jerozolimy, i dał mu jako jałmużnę 15 lub 16 juliów, a także kawał płótna, który on złożył kilkakrotnie i owinął nim brzuch, ponieważ było bardzo zimno.

Odtąd Pielgrzym zrozumiał, że nie było wolą Bożą, aby pozostał w Jerozolimie, zawsze zastanawiał się nad sobą, *quid agendum* – co teraz robić. W końcu poczuł w sobie skłonność do

podjęcia nauki przez jakiś czas, aby móc pomagać duszom, i zdecydował się wyruszyć do Barcelony. Udał się więc do Wenecji i do Genui (początek II 1524). Pewnego dnia w Ferrarze, gdy był w katedrze, gdzie odbywał swoje modlitwy, jakiś żebrak poprosił go o jałmużnę. Pielgrzym dał mu jedną monetę wartości 5 lub 6 kwatrinów. Potem przyszedł drugi, a on mu dał monetę nieco większej wartości. Dla trzeciego nie miał już nic prócz juliów. Dał mu więc jednego. A kiedy żebracy zobaczyli, że rozdaje jałmużnę, przychodzili do niego i tak rozdał wszystko, co miał. Wreszcie przyszło wielu biednych po jałmużnę, ale on prosił ich o przebaczenie, że już nic więcej nie miał.

51. Z Ferrary wyruszył do Genui. W tej drodze spotkał kilku żołnierzy hiszpańskich, którzy go tej nocy dobrze przyjęli. Byli oni bardzo zaskoczeni tym, że szedł drogą, która prowadziła prawie przez sam środek wojsk francuskich i cesarskich, i prosili go, żeby zeszedł z głównej drogi, a wybrał inną bardziej bezpieczną, którą mu wskazywali. Ale on nie poszedł za ich radą.

Kiedy tak szedł prosto swoją drogą, przyszedł do pewnej wsi spalonej i zniszczonej i aż do wieczora nie znalazł nikogo, kto by mu dał coś do jedzenia. Ale o zachodzie słońca przyszedł do pewnej miejscowości obronnej, a strażnicy zaraz go zatrzymali mając go za szpiega. Umieścili go w domku tuż koło bramy i zaczęli go badać, jak to się robi zwyczajnie z człowiekiem podejrzanym. Na wszystkie ich pytania odpowiadał, że nic nie wie. Rozebrali go więc i przeszukali wszystko, nawet buty i całe ciało, żeby zbadać, czy nie niesie jakiegoś listu. Nie mogąc się w żaden sposób niczego od niego wywiedzieć, związali go, by go zaprowadzić do dowódcy, który będzie umiał skłonić go do mówienia. Pielgrzym prosił ich, aby mógł ubrać choć swój płaszcz, zanim go poprowadzą, ale oni nie chcieli mu go dać i wzięli go ubranego tylko w spodnie i w kurtkę, o której wyżej była mowa.

52. Idąc tak miał Pielgrzym jakby wyobrażenie Chrystusa pojmanego, chociaż nie było to widzenie takie, jak innym razem. Prowadzono go przez trzy duże ulice, on zaś szedł bez żadnego smutku, owszem z radością i zadowoleniem. Miał on zwyczaj mówić do każdego – obojętnie, kto by to był – przez „ty”, a czynił to z pobożności, bo sądził, że tak mówił Chrystus i apostołowie itd. Gdy szedł przez te ulice, przyszła mu myśl, że byłoby dobrze zaniechać tego zwyczaju w tej sytuacji i mówić do kapitana przez „wielmożny panie”, a to dlatego, że bał się trochę tortur, którym mogli go poddać itd. Ale gdy poznał, że to jest pokusa, powiedział sobie: „Ponieważ tak się rzecz ma, nie będę do niego mówił przez «wielmożny panie», ani mu się nie ukłonię, ani nie zdejmę nakrycia głowy”.

53. Przyszedszy do domu kapitana zostawili go samego w jednej izbie. Po chwili kapitan miał z nim rozmowę. A on w żaden sposób nie okazując mu grzeczności odpowiadał w niewielu słowach cedząc je w dużych odstępach. Kapitan wziął go za obłąkanego i powiedział do tych, co go przyprowadzili: „Ten człowiek nie jest przy zdrowych zmysłach. Oddajcie mu jego rzeczy i wyrzućcie go precz”.

Zaledwie wyszedł z tego domu, zaraz spotkał Hiszpana, który tam mieszkał; zabrał on go do siebie i dał mu posiłek, aby mógł przerwać swój post, a prócz tego wszystko, co było mu potrzebne do noclegu. Wyruszywszy rankiem następnego dnia wędrował aż do wieczora. Nagle dojrzało go dwóch żołnierzy, którzy mieli stanowisko na wieży; zeszedli więc na dół, aby go pojmać. Zaprowadzili go do kapitana, który był Francuzem. Kapitan zapytał go między innymi, skąd pochodzi. Usłyszawszy, że był z Guipuzcoa, powiedział: „A ja pochodzę z kraju, który jest blisko twojego”

(zdaje się, że pochodził z okolic Bajonny). I zaraz dodał: „Weźcie go i dajcie mu wieczerzę, a obchodźcie się z nim dobrze”.

W tej drodze z Ferrary do Genui doznał Pielgrzym wielu innych przygód, aż wreszcie dotarł do Genui. Tam rozpoznał go pewien Biskajczyk, nazwiskiem Portundo, który kiedyś z nim parę razy rozmawiał, kiedy jeszcze służył na dworze Króla Katolickiego. On to wsadził go na okręt płynący do Barcelony. Okręt ten był w wielkim niebezpieczeństwie wpadnięcia w ręce Andrzeja Dorii, który ich ścigał, a stał wtedy po stronie Francuzów.

VI. POCZĄTKI STUDIÓW (1524 – 1527)

Nauka w Barcelonie (wielki Post 1524 – marzec 1526)

54. Przybywszy do Barcelony wyjawiał swój pociąg do nauki Izabeli Roser i niejakiemu magistrowi Ardevolowi, który uczył gramatyki. Oboje pochwalili jego zamiar, on zaofiarował mu naukę bezpłatnie, ona zaś miała dostarczać mu tego, co było konieczne do jego utrzymania. Pielgrzym znał w Manresie pewnego mnicha, sądzę, że z zakonu św. Bernarda, męża bardzo duchownego. U niego to chciał zamieszkać, aby uczyć się lepiej i oddawać się rzeczom duchownym, a także pomagać duszom. Dlatego też odpowiedział, że przyjąłby ich ofiarę, gdyby nie znalazł w Manresie tych korzyści, jakich się tam spodziewał. Ale udawszy się tam, dowiedział się, że mnich ten już umarł. Tak więc wrócił do Barcelony i z wielką pilnością rozpoczął naukę. Przeszkadzała mu w tym jedna rzecz; kiedy bowiem zaczynał się uczyć na pamięć, jak to jest konieczne w początkach gramatyki, nachodziły go nowe oświecenia w rzeczach duchownych i nowe rozmiłowanie w nich. A działo się to w taki sposób, że nie mógł się uczyć na pamięć; i choć walczył z tymi myślami, nie mógł ich odpędzić.

55. Myśląc o tym częstokroć tak sobie mówił: „Ani kiedy się modłę, ani kiedy jestem na mszy, nie przychodzą mi te tak żywe oświecenia”. I tak powoli doszedł do zrozumienia, że to była pokusa. A potem pomodliwszy się poszedł do kościoła Matki Boskiej de La Mar blisko domu nauczyciela, którego uprzednio poprosił, aby go zechciał przez chwilę wysłuchać w tym kościele. Gdy tam usiedli, wyjawiał mu wiernie wszystko, co się działo w jego duszy i jak mało postąpił w nauce, z tego powodu. Uczynił też obietnicę wspomnianemu nauczycielowi w tych słowach: „Przyrzekam ci, że nigdy nie opuszczę żadnego z twego wykładu w ciągu tych dwu lat, o ile tylko znajdę w Barcelonie dość chleba i wody, aby się móc utrzymać przy życiu”. A ponieważ uczynił tę obietnicę z wielką mocą, nigdy już więcej nie odczuwał tych pokus.

Bóle żołądka, których nabawił się w Manresie i z powodu których nosił obuwie, zniknęły. Od czasu swej podróży do Jerozolimy nie cierpiał na żołądek. I dlatego podczas nauki w Barcelonie powstało w nim pragnienie, aby znów wrócić do dawnych pokut. Zaczął więc robić dziury w podeszwach swych butów; dziury te powiększały się stale, tak że z nadejściem mrozów zimowych nosił na stopach tylko górną część obuwia.

56. Po ukończeniu dwu lat nauki, w ciągu których – jak mu mówiono – dużo postąpił, nauczyciel jego powiedział mu, że już może słuchać wykładów na wydziale sztuk wyzwolonych (tj. filozofii) i żeby udał się w tym celu do Alkali. Ale on poddał się jeszcze egzaminowi u pewnego doktora teologii, który poradził mu to samo.

W Alkali

Pomoc dla dusz i proces (marzec 1526 – czerwiec 1527)

Tak więc wyruszył samotnie do Alkali, chociaż już wtedy miał, jak mi się zdaje, kilku towarzyszy. Przybywszy do Alkali zaczął żebrać i żyć z jałmużny. Przeżył w ten sposób już 10 lub 12 dni, kiedy pewien kleryk i kilka osób, które mu towarzyszyły, widząc go żebrzącego zaczęli się śmiać z niego i miotać nań obelgi, którymi obrzuca się zwykle żebraków zdrowych i silnych. W tej właśnie chwili przechodził obok kierownik nowego szpitala Antezana i był widocznie tym niemile dotknięty; zawołał więc Pielgrzyma, zaprowadził go do szpitala i dał mu tam pokój i wszystko inne, co jest konieczne.

57. W Alkali studiował prawie przez półtora roku. A ponieważ do Barcelony przybył w Wielkim Poście roku 1524 i uczył się tam przez dwa lata, więc do Alkali przybył w roku 1526. Studiował tam Logikę Dominika Soto, Fizykę Alberta Wielkiego i Magistra Sentencji tj. Piotra Lombarda. Podczas pobytu w Alkali zajmował się także daniem Ćwiczeń Duchownych i wyjaśnianiem katechizmu i w ten sposób przynosił owoce dla chwały Bożej. Wiele bowiem osób dochodziło do wielkiej znajomości i rozmyślenia w rzeczach duchownych. Inne zaś doznawały różnych pokus. Jedna na przykład chciała się wychłostać, ale nie mogła tego uczynić, bo ktoś jakby trzymał ją za rękę. Te i inne podobne wypadki budziły plotki w mieście, głównie z powodu zbiegowiska dookoła niego, gdy wyjaśniał katechizm.

Mam sobie zapamiętać o strachu, którego on sam doświadczył w nocy.

Zaraz po przybyciu do Alkali poznał Don Diego de Eguia, który mieszkał u swego brata drukarza w tym mieście i był dość zamożny. Pomagali oni obaj Pielgrzymowi swymi jałmużnami nieść pomoc biednym, a drukarz przyjął do swego domu trzech towarzyszy Pielgrzyma. Pewnego dnia, gdy Pielgrzym przyszedł prosić go o wsparcie, aby zaradzić potrzebom pewnych biednych, Don Diego powiedział mu, że nie ma pieniędzy, ale otworzył przed nim skrzynię, gdzie miał różne rzeczy, i dał mu różnokolorową bieliznę pościelową, lichtarze i inne tym podobne rzeczy. Pielgrzym zawinął to wszystko w prześcieradło, zarzucił na plecy i poszedł pomagać biednym.

58. Jak już wyżej wspomniano, dużo mówiono w tej okolicy o tym, co się działo w Alkali; jeden mówił o tym tak, inny znów inaczej. Sprawa ta dotarła aż do Toledo do inkwizytorów. Przybyli oni do Alkali, a gospodarz ich uprzedził o tym Pielgrzyma i powiedział mu, że oni uważają ich za *ensayalados*, a sądzę, że i za *alumbrados*, i że mają ich, zdaje się, poddać torturom. W rzeczy samej zaraz wdrożyli śledztwo i proces w sprawie ich życia, ale nie pozwawszy ich wcale przed sąd wrócili do Toledo, bo tylko dla zbadania stanu rzeczy przybyli do Alkali. Wyjeżdżając sprawę procesu pozostawili wikariuszowi Figueroa, który obecnie jest na dworze cesarza. Po kilku dniach wikariusz wezwał ich do siebie (21 XI 1526). Powiedział im, że inkwizytorzy przeprowadzili śledztwo i dochodzenie co do sposobu ich życia i że nie znaleziono żadnego błędu ani w nauczaniu, ani w ich życiu, przeto mogą postępować tak samo jak przedtem, bez żadnej przeszkody. Ponieważ jednak nie są zakonnikami, nie wypada, żeby wszyscy nosili taki sam strój. Będzie więc dobrze –

i dał im taki rozkaz – żeby dwaj z nich (tu wskazał na Pielgrzyma i Arteagę) ufarbowali swe suknie na czarno, a dwaj inni, Kalikst i Cáceres, na kolor jasnobrązowy. Natomiast Juanico (był to młody Francuz) mógł zostać tak, jak był.

59. Pielgrzym odpowiedział, że uczynią, jak im polecił. „Ale nie wiem, dodał, jaki pożytek z tych dochodzeń. Niedawno pewien kapłan nie chciał dać Komunii św. jednemu człowiekowi dlatego, że przystępuje do Stołu Pańskiego raz na tydzień, a mnie też czyni się podobne trudności. Chcielibyśmy więc wiedzieć, czy znaleziono w nas jaką herezję”. „Nie, odpowiedział Figueroa, jeśli by ją znaleziono, spalono by was”. – „Tak samo spalono by i was, odpowiedział Pielgrzym, gdyby wam udowodniono herezję”. Ufarbowali więc swoje suknie, jak im polecono. Po upływie 15 do 20 dni Figueroa nakazał Pielgrzymowi, żeby nie chodził boso, ale żeby nosił obuwie. Spełnił on ten rozkaz spokojnie i po prostu, jak czynił zawsze, gdy nakazywano mu podobne rzeczy.

Pamiętać o tym, co mi opowiadał Bustamante.

Po czterech miesiącach Figueroa przeprowadził ponowne badanie w ich sprawie. Prócz innych powodów przedtem przytoczonych, była, sądzę, i ta okoliczność, że pewna dama zamężna i zamożna okazywała szczególne przywiązanie do Pielgrzyma. Ażeby jej nie poznano, przychodziła do szpitala zawoalowana, jak to w zwyczaju w Alcala de Henares, i jeszcze przed świtem. Wszedłszy zdejmowała zasłonę i szła do pokoju Pielgrzyma. Ale i tym razem nie uczyniono nic przeciw nim. Ani ich nie pozwano po procesie, ani też nic im nie powiedziano.

60. Po czterech miesiącach od tamtej pory, kiedy Pielgrzym mieszkał już w domku poza szpitalem, przyszedł pod jego drzwi pewnego dnia alguazil tj. woźny sądowy, zawołał go i powiedział doń: „Chodź no na chwilę ze mną!” A wsadziwszy go do więzienia rzekł mu: „Nie wyjdiesz stąd aż do nowego rozporządzenia”. Było to na wiosnę 1527 roku. Ponieważ nie pilnowano go ściśle, wiele ludzi przychodziło go odwiedzać.

Między innymi niejaki M., który był jego spowiednikiem.

On zaś postępował tak samo, jakby był na wolności: uczył katechizmu i dawał Ćwiczenia Duchowne. Nie chciał nigdy wziąć sobie adwokata ani obrońcy, chociaż wielu ofiarowało mu swą pomoc. Przypomina sobie szczególnie panią Teresę de Cardenas, która posyłała doń swoich ludzi, aby go odwiedzali i kilkakrotnie proponowała mu, że go uwolni z więzienia. Ale on nie przyjął niczego i zawsze mawiał: „Ten, dla którego miłości tutaj przyszedłem, uwolni mnie, jeśli to będzie dla jego służby”.

61. Przebywał w więzieniu przez 17 dni nie będąc badany i nie wiedząc za co. W końcu (maj 1527) Figueroa przyszedł go wypytywać o wiele rzeczy, a nawet o to, czy świętuje w soboty. A także, czy zna dwie osoby, pewną damę i jej córkę. On na to odpowiedział, że tak. A dalej, czy wiedział coś o ich wyjeździe zanim wyruszyły z miasta. Odpowiedział, że nie, a to z powodu przysięgi, którą od nich przyjął. Wtedy wikariusz uradowany położył mu rękę na ramieniu i powiedział: „To właśnie było przyczyną dla której cię tu sprowadzono”.

Wśród wielu osób, które szły za Pielgrzymem jako za przewodnikiem duchownym, była pewna dama i jej córka, obie wdowy. Córka była jeszcze bardzo młoda i bardzo piękna. Postąpiły one wiele na drodze duchownej, szczególnie córka, i to do tego stopnia, że choć były ze szlachty, udały się pieszo do Chusty św. Weroniki w Jaen, a nie wiem, czy nie o żebraczym chlebie, i zupełnie same. To dało powód do wielu plotek w Alkali. Doktor Ciruelo, który był po trosze ich opiekunem, myślał, że to więzień nakłonił je do tego i dlatego kazał go aresztować. Kiedy więzień usłyszał to, co powiedział wikariusz, zapytał go: „Czy chcesz, żebym ci więcej powiedział w tej sprawie?” – „Tak” – odpowiedział wikariusz: – „Otóż trzeba ci wiedzieć, powiedział więzień, że te dwie niewiasty wiele razy nalegały na mnie, abym im pozwolił wędrować po świecie i służyć biednym już to w jednym szpitalu, już to w innym. Ja zaś zawsze odwodziłem je od tego zamiaru, biorąc pod uwagę młodość i urodę córki itd. Powiedziałem im, że jeśli chcą odwiedzać chorych, mogą to czynić tu w Alkali, a nadto chodzić w procesji za Najśw. Sakramentem”. Po tej rozmowie Figueroa odszedł wraz ze swoim notariuszem zabierając z sobą treść tej rozmowy na piśmie.

62. W tym czasie Kalikst przebywał w Segowii. Dowiedziawszy się, że Pielgrzym jest uwięziony, przybył natychmiast do Alkali, chociaż tylko co dźwignął się z ciężkiej choroby, i razem z nim dzielił pobyt w więzieniu. Ale Pielgrzym powiedział mu, że lepiej będzie, jeśli pójdzie przedstawić się wikariuszowi. Przyjął on go dobrze, ale powiedział mu, że daje rozkaz, aby wrócił do więzienia. Trzeba bowiem, żeby tam pozostał aż do powrotu tych dwóch niewiast; wtedy zobaczy się, czy one potwierdzą jego zeznania. Kalikst pozostał w więzieniu przez kilka dni. Ale Pielgrzym widząc, że to szkodzi jego zdrowiu, nie był bowiem jeszcze całkiem zdrowy, postarał się o zwolnienie go za pośrednictwem pewnego doktora, swego wielkiego przyjaciela.

Od dnia, w którym Pielgrzym dostał się do więzienia, aż do dnia jego zwolnienia upłynęło 42 dni. Pod koniec tego czasu wróciły obie pobożne niewiasty i notariusz przyszedł do więzienia, aby odczytać Pielgrzymowi wyrok. Został on zwolniony, ale jemu i jego towarzyszom kazano się ubierać tak, jak chodzą inni studenci. A ponieważ nie odbyli studiów, nie powinni mówić o rzeczach wiary przez cztery lata, dopóki się więcej nie nauczą. Co prawda Pielgrzym był tym, który najwięcej umiał z nich wszystkich, ale i jego wiedza miała dość słabe podstawy. Zresztą zaznaczał to zawsze zaraz na początku, ilekroć go badano.

63. Po tym wyroku Pielgrzym miał pewne wątpliwości, jak ma postąpić, ponieważ zdawało mu się, że zamknięto mu bramę do pomagania duszom, nie podając mu żadnej innej racji prócz tej, że nie odbył studiów. Ostatecznie zdecydował się iść do arcybiskupa w Toledo, a był nim Fonseca, i w jego ręce złożyć tę sprawę.

Wyruszył z Alkali (ok. 21 VI) i znalazł arcybiskupa w Valladolid. Opowiedział mu wiernie wszystko, co zaszło, i dodał, że choć nie jest pod jego jurysdykcją i choć nie jest obowiązany stosować się do wyroku, to jednak uczyni to, co on mu każe (mówił zaś doń przez „ty”, jak zwykł mówić do wszystkich). Arcybiskup przyjął go bardzo życzliwie, a usłyszawszy, że pragnie udać się do Salamanki, powiedział mu, że ma tam przyjaciół i kolegium, i że to wszystko jest do jego dyspozycji. Przy odejściu dał mu cztery dukaty.

VII. WIĘZIENIE W SALAMANCE (lipiec – wrzesień 1527)

64. Po przybyciu do Salamanki gdy modlił się w kościele, pewna pobożna niewiasta rozpoznała go jako jednego z towarzystwa, bo czterej jego towarzysze już tam byli od pewnego czasu. Zapytała go o jego nazwisko i zaprowadziła do nich.

Kiedy w Alkali polecono im wyrokiem, aby ubierali się jak inni studenci, Pielgrzym powiedział: „Kiedyście nam kazali ufarbować nasze suknie, uczyniliśmy to. Ale teraz nie możemy zrobić tego, co nam każecie, ponieważ nie mamy za co kupić innych ubrań”. Tak więc sam wikariusz zaopatrzył ich w ubrania i czapki i we wszystko, co było potrzebne studentom. I tak ubrani opuścili Alkalę.

W Salamance Pielgrzym spowiadał się u jednego mnicha dominikanina z klasztoru św. Szczepana. Po 10 lub 12 dniach od jego przybycia powiedział doń jego spowiednik: „Ojcowie z tego domu pragną z tobą porozmawiać”. – „No to w imię Boże” – odrzekł Pielgrzym. „Będzie więc dobrze, powiedział spowiednik, jeśli przyjdiesz tu na obiad w niedzielę, ale uprzedzam cię, że będą chcieli dowiedzieć się od ciebie wielu rzeczy” ... Przyszedł więc w niedzielę (koniec VII 1527) razem z Kalikstem. Po posiłku zastępca przeora, bo przeor był nieobecny, spowiednik i, jak sądzę, jeszcze jeden mnich udali się z nim do kaplicy. Tam zastępca przeora, zaczął z wielką serdecznością mówić, że informacje, jakie mają o ich życiu i obyczajach, są dobre, że na sposób apostolski chodzą głosząc słowo Boże; ale że chętnie chcieliby się dowiedzieć więcej szczegółów o tym wszystkim. Spytał więc najpierw, jakie studia odbyli. Pielgrzym odpowiedział: „Z nas wszystkich ja najwięcej się uczyłem”. I zaraz powiedział im jasno, jak niewiele studiował i jak było to bez większych podstaw.

65. Na to zastępca przeora: „A co głosicie w waszych kazaniach?” – „My nie głosimy kazań, odparł Pielgrzym, ale po prostu rozmawiamy z ludźmi o rzeczach Bożych, na przykład po posiłku z niektórymi osobami, które nas zaprosiły”. – „Ale, podjął mnich, o jakich to rzeczach Bożych mówicie? O tym właśnie chcielibyśmy wiedzieć”. – Mówimy, rzekł Pielgrzym, już to o jakiejś cnocie, już to o innej, zalecając je; kiedy indziej znów o tej lub innej wadzie, ganiąc ją”.

– „Nie jesteście wykształceni, rzecz mnich, a mówicie o cnotach i wadach. Ale o tym nikt nie może mówić jak tylko w dwojaki sposób; albo na mocy nabytej wiedzy, albo przez Ducha Świętego. A ponieważ nie na mocy wiedzy, więc przez Ducha Świętego”.

O tym właśnie, co jest od Ducha Świętego, chcielibyśmy wiedzieć.

Tutaj Pielgrzym trochę się zastanowił, bo ten sposób argumentowania nie wydał mu się dobry. Po chwili milczenia powiedział, że nie ma potrzeby mówić więcej o tych sprawach. Ale mnich nalegał: „Teraz kiedy jest tyle błędów Erazma i tyle innych, które zwodzą świat, wy nie chcecie wytłumaczyć, o czym mówicie?”.

66. Na to Pielgrzym: „Ojcze, nie powiem nic więcej nad to, co powiedziałem, chyba tylko przed moimi przełożonymi, którzy mogą mnie do tego zobowiązać”.

Przedtem zapytał się mnich, dlaczego Kalikst przyszedł tak ubrany. Nosił on bowiem krótką suknię, ogromny kapelusz na głowie, w ręce miał kostur, a na nogach buty sięgające mu do łydki. A ponieważ był on bardzo wysoki, wyglądał więc tym bardziej dziwacznie. Pielgrzym opowiedział mu, że byli aresztowani w Alkali, że im kazano ubierać się na modłę studentów, i że jego towarzyszy

oddął podczas wielkich upałów swoją suknię jakiemuś biednemu klerykowi. Na to mnich mruknął pod nosem, dając do poznania, że mu się to nie podobało. *Caritas incipit a se ipsa*.

Wróćmy jednak do naszej opowieści. Zastępca przeora nie mogąc wydobyć z Pielgrzyma nic więcej powiedział: „Zostańcie tu na razie, my zaś się postaramy o to, żebyś nam wszystko powiedział”. Wtedy wszyscy mnisi odeszli z pewnym pośpiechem. Pielgrzym zapytał go przedtem, czy chcą aby zostali w kaplicy, czy też gdzie indziej. Zastępca przeora odpowiedział, żeby zostali w kaplicy. Natychmiast mnisi zamknęli wszystkie drzwi i, jak się zdaje, porozumieli się z sędziami kościelnymi. Tymczasem oni obaj pozostali w klasztorze przez 3 dni i nic im nie powiedziano ze strony władz sądowych. Posiłki przyjmowali w refektarzu razem z mnichami. I zawsze prawie ich pokój był pełen mnichów, którzy przychodzili ich zobaczyć. A Pielgrzym zawsze mówił o rzeczach, o których miał zwyczaj mówić, tak że zaistniała między nimi różnica zdań, bo było wielu, którzy okazywali im życzliwość.

67. Pod koniec tych trzech dni przyszedł notariusz i zabrał ich do więzienia. Nie umieszczono ich w dolnej części więzienia razem ze złoczyńcami, ale w pewnym górnym pomieszczeniu, które było bardzo brudne, bo stare i dawno nie zamieszkiwane. Przywiązano ich obu do jednego wspólnego łańcucha, każdego za nogę. Łańcuch przytwierdzony do słupa, który był na środku izby, miał 10 do 13 piędzi długości. I ilekroć jeden chciał coś zrobić, drugi musiał mu towarzyszyć. Całą tę noc spędzili na czuwaniu. Nazajutrz, kiedy się dowiedziano w mieście o ich uwięzieniu, wysłano im do więzienia wszystko, co potrzebne jest do spania, i wszystkie inne rzeczy w obfitości. Zawsze też przychodziło wiele osób odwiedzać ich, a Pielgrzym nadal odbywał swe ćwiczenia mówiąc o Bogu itd.

Bakalarz Frias przyszedł ich przebadać każdego z osobna. Pielgrzym dał mu wszystkie swe papiery, w których zawierały się Ćwiczenia Duchowne, ażeby je zbadał. On ze swej strony zapytał ich, czy mieli towarzyszy. Oni odpowiedzieli, że tak i podali, gdzie się znajdują. Zaraz też na rozkaz bakalarza posłano po nich i sprowadzono do więzienia Cáceresa i Arteagę; Juanica, który potem został mnichem, zostawiono w spokoju. Nie umieszczono ich na górze razem z dwoma wcześniej aresztowanymi, ale na dole, gdzie przebywali pospolici przestępcy. Niemniej i teraz Pielgrzym nie chciał wziąć adwokata ani obrońcy.

68. Po kilku dniach wezwano go przed czterech sędziów. Byli to trzej doktorzy – Sanctisidoro, Paravinhas i Frias (Franciszek), a czwartym był bakalarz Frias (Marcin). Wszyscy oni przeglądali Ćwiczenia. Pytali go o wiele rzeczy nie tylko w sprawie Ćwiczeń, ale także z teologii, np. o Trójcy Świętej i Najświętszym Sakramencie, a mianowicie jak rozumie te artykuły wiary. On najpierw zrobił swoje wyznanie wstępne, że za mało się uczył i bez pogłębienia wiedzy. Niemniej na rozkaz sędziów odpowiedział i to w taki sposób, że nie mieli mu nic do zarzucenia. Wtedy bakalarz Frias, który w tych rzeczach okazał się więcej gorliwy od innych, zadał mu pytanie z prawa kanonicznego. Pielgrzym musiał mu odpowiedzieć na wszystko, choć zawsze najpierw mówił, że nie wie, co o tym mówią uczeni w tych rzeczach. Potem polecono mu, żeby objaśnił pierwsze przykazanie Boże w taki sposób, w jaki to zwykł czynić. Zaczął więc objaśniać i zatrzymał się nad tym tak długo i powiedział tyle rzeczy o pierwszym przykazaniu, że już nie mieli ochoty pytać go więcej. Przedtem jeszcze gdy mówili o Ćwiczeniach, kładli wielki nacisk na jeden punkt, który znajduje się zaraz na początku, a mianowicie, kiedy jakaś myśl jest grzechem lekkim, a kiedy ciężkim. A to dlatego, że Pielgrzym rozstrzygał to nie odbywszy studiów. On im tak odpowiedział:

„Czy to jest prawda, czy nie, wasza to rzecz określić. A jeśli to nie jest prawda, potępcie to”. Ostatecznie odeszli nie potępiwszy niczego.

69. Wśród wielu, którzy przychodzili rozmawiać z Pielgrzymem w więzieniu, przyszedł raz Don Franciszek de Mendoza, który teraz jest kardynałem w Burgos. A przyszedł w towarzystwie bakałarza Friasa. Zapytał go pofuale, jak się czuje w więzieniu i czy ciężko mu jest być uwięzionym. Pielgrzym odpowiedział mu tak: Odpowiem ci to samo, co odpowiedziałem pewnej damie, która miała dla mnie słowa współczucia, widząc mnie w więzieniu. Powiedziałem jej: Dajesz przez to dowód, że nie pragniesz być więźniem dla miłości Boga. Czyż więzienie wydaje się tak wielkim złem? Co do mnie, to mówię ci, nie ma tyle krat i łańcuchów w Salamance, ile bym ja pragnął, i więcej jeszcze, dla miłości Boga”.

Zdarzyło się w tym czasie, że wszyscy więźniowie uszli z więzienia, tylko ci dwaj towarzysze, którzy z nimi byli, nie uciekli. I kiedy rankiem znaleziono tylko ich samych przy drzwiach otwartych, dało to powód do wielkiego zbudowania i spowodowało wiele gadania w mieście. Zaraz też dano im za więzienie cały duży dom, który był w pobliżu.

70. Po 22 dniach od ich aresztowania (ok. 22 VIII 1527) pozwano ich dla wysłuchania wyroku. Według brzmienia wyroku nie znaleziono żadnego błędu ani w ich życiu, ani w ich nauce. Mogą więc dalej żyć, jak żyli dotychczas, mogą nauczać katechizmu i mówić o rzeczach Bożych, byleby tylko nie określali, że coś jest grzechem śmiertelnym, a coś lekkim, dopóki nie odbędą studiów przez cztery lata, w ciągu których nauczą się więcej. Po odczytaniu tego wyroku sędziowie okazali im dużo przychylności, jakby chcieli nakłonić ich do przyjęcia wyroku. Pielgrzym odpowiedział, że uczyni wszystko, co wyrok nakazuje, ale samego wyroku nie przyjmuje. Albowiem nie potępiwszy go w niczym zamyka się mu usta, żeby nie mógł pomagać bliźnim w tym, w czym może. Doktor Frias, który okazywał się bardzo życzliwy, wiele nań nalegał, ale Pielgrzym nic więcej nie powiedział nad to, że dopóki znajduje się pod jurysdykcją władz z Salamanki, uczyni to, co mu polecono. I natychmiast wypuszczono ich z więzienia.

Polecając się Bogu zaczął Pielgrzym myśleć nad tym, co ma czynić. Co do dalszego pobytu w Salamance widział wielką trudność w tym, że zakaz określania co jest grzechem ciężkim, a co lekkim wydał mu się zamknięciem bramy do apostołowania.

71. Zdecydował się więc udać się na studia do Paryża. Kiedy jeszcze w Barcelonie zastanawiał się, czy ma studiować i jak długo, rzecz cała była dlań w tym, czy po odbyciu studiów wstąpi do zakonu, czy też będzie wędrował po świecie. A kiedy przychodziły mu myśli o wstąpieniu do zakonu, pragnął zaraz wstąpić do jakiegoś zakonu podupadłego i mało zreformowanego, bo jeśliby wstąpił do zakonu, to tylko w tym celu, by móc więcej cierpieć. Myślał także, że Bóg przyjdzie mu w tym z pomocą. A Bóg dawał mu wielką ufność, że zniesie dobrze wszystkie zniewagi i krzywdy, jakie by mu wyrządzano.

W Salamance podczas pobytu w więzieniu nie opuściły go te same pragnienia, które miał dawniej, a mianowicie pomagania duszom i uczenia się w tym właśnie celu oraz zebrania kilku towarzyszy dla tegoż celu, zachowania zaś przy sobie tych, których już miał. Postanowiwszy udać się do Paryża umówił się z nimi, że będą tutaj czekać na niego. On zaś pójdzie zobaczyć, czy będzie mógł znaleźć jaki sposób, żeby i oni mogli tam studiować.

72. Wiele osób wybitnych nalegało nań gorąco, żeby nie odchodził, ale nikt nie mógł go przekonać. Po upływie mniej niż 15 lub 20 dni od wyjścia z więzienia wyruszył (ok. 15 IX 1527) samotnie zabierając ze sobą kilka książek na grzbiecie małego osiołka. Kiedy przybył do Barcelony, wszyscy, którzy go znali, odradzali mu podróż do Francji, a to z powodu wielkiej wojny w tym czasie. Opowiadano mu szczegółowo o różnych wypadkach, mówiono nawet, że Francuzi pieką Hiszpanów na rożnie, ale on nie odczuwał nigdy żadnego strachu.

VIII. STUDIA W PARYŻU (luty 1528 – kwiecień 1535)

73. Wyruszył więc w drogę do Paryża sam i pieszo, a przybył tam z początkiem lutego. Według tego jak mi to obliczał, było to w roku 1528 lub 1527.

Kiedy był w więzieniu w Alkali, urodził się hiszpański następca tronu i dzięki temu można obliczyć wszystko, nawet wypadki wcześniejsze.

Zamieszkał w pewnym domu z kilkoma Hiszpanami i uczęszczał na wykłady języków klasycznych w kolegium Montaigu. A uczynił to dlatego, że przedtem odbywał nauki z takim pośpiechem, iż stwierdził brak podstaw w swoim wykształceniu. Uczył się więc razem z dziećmi stosując się do porządku i metody studiów w Paryżu.

Gdy tylko przybył do Paryża, pewien kupiec wypłacił mu 25 skudów na przekaz z Barcelony. Pieniądze te powierzył Pielgrzym pieczy jednego z Hiszpanów, z którym mieszkał, ten zaś w krótkim czasie roztrwonił je i nie miał z czego oddać. Tak więc, gdy minął Wielki Post, Pielgrzym, nie miał już wcale pieniędzy, raz że sam część ich wydał, a po drugie dla racji wyżej wspomnianej. Był więc zmuszony do żebrania, a nawet do opuszczenia domu, w którym mieszkał.

74. Przyjęto go (po 12 IV 1528) do szpitala św. Jakuba za kościołem Młodzianków. Było to dla niego wielką przeszkodą w studiach, ponieważ szpital był dość daleko od kolegium Montaigu; żeby więc przyjść przed zamknięciem bramy szpitala, musiał wracać na Anioł Pański, a nie mógł wychodzić ze szpitala przed świtem. Nie mógł przeto słuchać wszystkich lekcji. Była też i inna przeszkoda, mianowicie że musiał żebrać na swoje utrzymanie.

Upłynęło już pięć lat, jak nie odczuwał bólów żołądka. Dlatego zaczął znów praktykować wielkie pokuty i posty. Po pewnym czasie takiego życia w szpitalu i żebraniny widząc, że mało postępuje w naukach, zaczął się zastanawiać, co robić. A ponieważ widział, że w kolegiach niektórzy studenci byli służącymi regentów, a równocześnie mieli czas na naukę, postanowił poszukać sobie służby u jakiegoś pana.

75. Z wielką pociechą duchową rozważał sobie i postanawiał, że mistrza swego będzie w wyobraźni uważał za Chrystusa, a studentom ponadaje imiona Apostołów, np. jednemu imię św. Piotra, innemu św. Jana itd. – „A kiedy mistrz wyda mi jaki rozkaz, będę myślał, że to mi Chrystus rozkazuje; a gdy mi rozkaże coś kto inny, będę myślał, że to św. Piotr mi rozkazuje”. Dołożył więc wielkich starań, aby znaleźć sobie pana. Mówił o tym z bakałarzem Castro i z jednym mnichem kartuzem, który znał wielu profesorów, i z wieloma innymi, ale nikt nie mógł mu znaleźć pana.

76. W końcu gdy już nie mógł znaleźć żadnej pomocy, pewien mnich Hiszpan powiedział mu jednego dnia, że byłoby lepiej udawać się co roku do Flandrii i poświęcić dwa miesiące, a może nawet mniej, na zebranie funduszków, z których można potem żyć i studiować przez cały rok. Kiedy rozwiązanie to polecił Bogu, wydało mu się ono dobre. Korzystając więc z tej rady przynosił co roku z Flandrii tyle, ile wystarczało do jakiegoś takiego życia. Raz udał się nawet do Anglii i zebrał tam więcej jałmużny niż w innych latach.

77. Kiedy po raz pierwszy powrócił z Flandrii, zaczął z większym wysiłkiem niż zazwyczaj oddawać się rozmowom duchownym i dawał także w tym samym prawie czasie (październik 1528) Ćwiczenia trzem osobom, a mianowicie: Peralcie, bakałarzowi Castro, który był z Sorbony, i pewnemu Baskowi z kolegium św. Barbary, imieniem Amador. Wszyscy oni bardzo zmienili swe życie, oddali zaraz ubogim wszystko co mieli, nawet książki, zaczęli żebrac po ulicach Paryża, a zamieszkali w szpitalu św. Jakuba, gdzie przedtem i Pielgrzym mieszkał, ale się stamtąd wyprowadził dla wyżej podanych racji (zob. n. 74). Fakt ten narobił wiele szumu w uniwersytecie, ponieważ dwaj pierwsi z tej trójki byli ludźmi poważnymi i bardzo znanymi. Zaraz też Hiszpanie wydali bitwę obu mistrzom. Nie mogąc ich jednak przekonać mnóstwem racji i perswazji, aby wrócili do uniwersytetu, udali się zbrojnie i w wielkiej liczbie pewnego dnia do szpitala i porwali ich stamtąd.

78. Zaciągnęli ich na uniwersytet i zrobili z nimi taką umowę: najpierw ukończą swoje studia, potem dopiero przeprowadzą swoje zamiary. Bakałarz Castro przybył potem do Hiszpanii, jakiś czas głosił kazania w Burgos, a potem został mnichem kartuskim w Walencji. Peralta wyruszył pieszo na pielgrzymkę do Jerozolimy. Został jednak zatrzymany we Włoszech przez pewnego kapitana, swego krewnego, który postarał się o to, by go przyprowadzić do papieża i uzyskał to, że papież kazał mu wrócić do Hiszpanii. To wszystko wydarzyło się nie zaraz, lecz kilka lat później.

Tymczasem w Paryżu, głównie między Hiszpanami, powstały wielkie szemrania przeciw Pielgrzymowi. Nasz magister de Gouvea twierdził, że on doprowadził do szaleństwa Amadora, który był uczniem w jego kolegium. Powiedział, że powziął takie postanowienie: Gdy tylko po raz pierwszy zjawi się Pielgrzym w kolegium św. Barbary, każe dać mu tzw. „salę” jako zwodzicielowi studentów.

79. Tymczasem ten Hiszpan, z którym Pielgrzym początkowo mieszkał razem i który roztrwonił jego pieniądze i nie zwrócił mu ich, wyruszył do Hiszpanii drogą przez Rouen. Gdy tam oczekiwał na okręt, rozchorował się ciężko. Podczas tej jego choroby Pielgrzym dowiedział się o tym z jego listu i zaraz opanowało go pragnienie, żeby go tam odwiedzić i pomóc mu. Myślał także, że w tej sytuacji uda mu się pozyskać go do opuszczenia świata i do poświęcenia się całkowicie służbie Bożej. W intencji uzyskania tego zapragnął przejść pieszo te 28 mil z Paryża do Rouen, boso, nie jedząc i nie pijąc. Kiedy się w tej sprawie modlił, poczuł w sobie wielki strach przed tym. W końcu udał się do kościoła św. Dominika i tam postanowił odbyć tę drogę w sposób wyżej opisany, a jego wielki strach, że kusi Boga, ustąpił. Nazajutrz rano w dniu, w którym miał wyruszyć, wstał wcześniej, a kiedy zaczął się ubierać, napadł go znów taki strach, iż mu się zdawało, że nie potrafi się ubrać. Pomimo tego oporu wewnętrznego wyszedł z domu i z miasta, zanim jeszcze nastał dzień. Ale ten strach trwał wciąż jeszcze i trzymał go aż do Argenteuil, miasteczka oddalonego od Paryża o trzy mile, przy drodze do Rouen. Tam, jak mówią, znajduje się tunika Pana

naszego. W tym stanie udręki duchowej minął miasteczko, a kiedy zaczął wchodzić na pewne wzgórze, ta udręka zaczęła ustępować. Owszem, przyszła nań wielka pociecha niosąca wewnętrzną siłę i taką radość, że zaczął wołać wśród pól i głośno rozmawiać z Bogiem itd. Przeszedłszy 14 mil zatrzymał się tego wieczoru razem z pewnym żebrakiem w szpitalu. Nazajutrz zaś nocował w stodole. Trzeciego dnia przybył do Rouen. Przez cały ten czas nic nie jadł ani nie pił i szedł boso, jak to sobie postanowił. W Rouen pocieszył chorego i pomógł mu wsiąść na okręt płynący do Hiszpanii. Dał mu też listy i skierował go do swoich towarzyszy, którzy byli w Salamance, to jest do Kaliksta, Cáceresa i Arteagi.

80. Żeby nie mówić więcej o tych towarzyszach – oto co się z nimi stało. Kiedy Pielgrzym przebywał w Paryżu, pisywał do nich często stosownie do tego, jak się umówili, donosząc im, że mała jest możliwość sprowadzenia ich na studia do Paryża. Zamyślał jednak napisać do pani Eleonory de Mascarenhas, żeby ona pomogła Kalikstowi dając mu listy polecające na dwór portugalski i żeby w ten sposób ułatwiła mu zdobycie stypendium, które król portugalski dawał w Paryżu. Pani Eleonora dała taki list Kalikstowi, a nadto podarowała mu mulicę na podróż i pieniądze na wydatki w drodze; Kalikst udał się na dwór portugalski, ale w końcu nie przybył do Paryża. Powrócił on do Hiszpanii, a potem udał się do Indii cesarskich (tj. do Ameryki Południowej) z pewną pobożną niewiastą. Następnie po powrocie do Hiszpanii znów wyjechał do tychże Indii. Tym razem wrócił stamtąd do Hiszpanii jako bogacz i wzbudził w Salamance zdumienie u tych wszystkich, którzy go znali przedtem.

Cáceres powrócił do Segowii, do swych ojczystych stron, i tam zaczął żyć tak, iż zdawało się, że zapomniał o swoim pierwszym zamiarze.

Arteaga został mianowany komandorem. Potem, gdy Towarzystwo Jezusowe było już założone w Rzymie, otrzymał biskupstwo w Indiach cesarskich. Napisał on wtedy do Pielgrzyma, że odstąpi je jednemu z Towarzystwa. A gdy mu dano odpowiedź odmowną, udał się do Indii. Otrzymawszy sakrę biskupią zmarł w dziwnych okolicznościach. Podczas choroby miał dwie butle z wodą do orzeźwienia się – jedną z wodą, którą przepisał lekarz, drugą z „wodą Solimana” tj. z trucizną. Przez pomyłkę dano mu tę drugą butlę z trucizną i to go zabiło.

81. Pielgrzym wrócił z Rouen do Paryża i dowiedział się, że na skutek tego co zaszło w sprawie Castro i Peralty, powstał wielki szum dokoła jego osoby i że inkwizytor kazał go wezwać. Nie chciał już dłużej czekać i sam udał się do inkwizytora. Powiedział mu, iż dowiedział się o tym, że go szukają; ze swej strony jest gotów na wszystko według jego woli. Inkwizytor ten nazywał się magister noster Ori, z zakonu św. Dominika. Pielgrzym prosił go o szybkie załatwienie sprawy, ponieważ miał zamiar wstąpić z dniem św. Remigiusza na wydział filozofii; chciał więc, żeby ta sprawa była skończona i żeby mógł łatwiej przyłożyć się do swoich studiów. Ale inkwizytor nie pozwał go, powiedział mu tylko, że w rzeczy samej doniesiono mu o jego postępowaniu itd.

82. Wkrótce potem nadszedł dzień św. Remigiusza, który przypada pierwszego października (1529), i Pielgrzym rozpoczął kurs filozofii pod kierunkiem profesora, który się nazywał Magister Jan Peña; zaczął ten kurs z pragnieniem zachowania przy sobie towarzyszy, którzy postanowili służyć Bogu, ale nie zamierzał pozyskiwać nowych towarzyszy, aby móc z większą swobodą oddawać się studiom. Gdy zaczął słuchać wykładów na wydziale, poczęły go napastować te same pokusy, które go nachodziły, kiedy uczył się gramatyki w Barcelonie. Podczas wykładów za każdym

razem nie mógł skupić uwagi z powodu licznych oświeceń duchownych, które mu się narzucały. Widząc, że w ten sposób czynił małe postępy w nauce, udał się do swego profesora i przyrzekł mu, że nigdy nie omieszka wysłuchać wszystkich jego wykładów, byleby tylko mógł znaleźć chleba i wody dla utrzymania się przy życiu. Po uczynieniu tej obietnicy cała ta pobożność, która go nachodziła nie w porę, opuściła go i spokojnie postępował w studiach.

W tym czasie (X 1529 – IV 1535) przestawał z magistrem Piotrem Favre i z magistrem Franciszkiem Ksawerym, których potem pozyskał za pomocą Ćwiczeń Duchownych do służby Bożej.

W tym okresie studiów już go nie prześladowano tak jak przedtem. W związku z tym powiedział raz doktor Frago, że dziwi go ten spokój i to, że nikt nie robi mu żadnych przykrości. A on mu odpowiedział: „To dlatego, że z nikim nie mówię o rzeczach Bożych. Ale po skończeniu kursu wrócimy do naszego zwyczaju”.

83. Kiedy tak obaj rozmawiali, przyszedł jakiś mnich prosić doktora Frago, aby mu zechciał znaleźć mieszkanie, ponieważ tam, gdzie miał swój pokój, umierało wiele osób; on to przypisywał zarazie. W rzeczy samej zaraza zaczęła się szerzyć w Paryżu. Doktor Frago razem z Pielgrzymem chcieli pójść obejrzeć ten dom i wzięli z sobą pewną panią, która dobrze się na tym znała. Kiedy weszła do środka, stwierdziła, że to zaraza. Pielgrzym też tam chciał wejść, a znalazłszy tam chorego pocieszył go dotykając ręką jego rany. A kiedy go trochę pocieszył i podniósł na duchu, odszedł. Wtedy zaczęła go boleć ręka i zdawało mu się, że się zaraził. To przypuszczenie było tak silne, że nie mógł go przezwyciężyć. Dopiero gdy z pewną gwałtownością włożył rękę do ust obracając ją tam na wszystkie strony i mówiąc do siebie: „Jeśli masz zarazę na ręce, to będziesz ją miał i w ustach!” – ustąpiło to wyobrażenie, a także i ból w ręce.

84. Ale kiedy wrócił do kolegium św. Barbary, gdzie miał wtedy pokój i gdzie słuchał wykładów, inni mieszkańcy kolegium, którzy wiedzieli o tym, że on wszedł do domu zapowietrzonego, uciekali od niego i nie chcieli mu pozwolić wejść. I dlatego był zmuszony przebywać przez kilka dni poza kolegium.

Jest zwyczaj w Paryżu, że studenci filozofii na trzecim roku dla uzyskania bakalaureatu „biorą kamień”, jak się to mówi w ich gwarze. A ponieważ kosztuje to jednego dukata, więc wielu biednych studentów nie może tego robić. I Pielgrzym zaczął powątpiewać, czy będzie dlań rzeczą dobrą „brać kamień”. I kiedy tak był pełen wątpliwości i niezdecydowany, postanowił zdać tę sprawę w ręce swego mistrza. Za jego radą „wziął kamień” (początek 1532). Niemniej nie brakło takich, co szemrali na niego z tego powodu, a w każdym razie jeden Hiszpan, który patrzył na to z niechęcią.

W Paryżu bardzo cierpiał w tym czasie na bóle żołądka i co dwa tygodnie miał ataki, które trwały przez dobrą godzinę i powodowały gorączkę. Jednego razu taki atak trwał przez 16 albo 17 godzin. Potem kiedy już ukończył kurs filozofii i przez kilka lat studiował teologię i pozyskał już towarzyszy, choroba jego wciąż się pogarszała, nie mógł znaleźć na nią żadnego lekarstwa, choć wielu próbował.

85. Lekarze mówili, że tylko powietrze stron rodzinnych mogło- by go uzdrowić. Towarzysze radzili mu to samo i bardzo nań nalegali w tym celu. A w tym czasie wszyscy oni byli już zdecydowani co do tego, co mają czynić; a mianowicie udać się do Wenecji i do Jerozolimy, i poświęcić swe

życie dla pożytku i pomocy duszom. A gdyby im nie pozwolono pozostać w Jerozolimie, mieli powrócić do Rzymu i stawić się przed Namiestnikiem Chrystusa, ażeby posłużył się nimi tam, gdzie to według jego sądu będzie dla większej chwały Boga i dla pożytku dusz. Zdecydowali się więc czekać przez rok na okręt w Wenecji. A gdyby w ciągu tego roku nie było takiej możliwości odpłynięcia na Wschód, byłiby tym samym zwolnieni od ślubu udania się do Jerozolimy, a udaliby się do papieża itd.

Ostatecznie Pielgrzym dał się przekonać swoim towarzyszom, tym łatwiej, że ci, co byli Hiszpanami, mieli kilka spraw do uregulowania i on im to mógł w Hiszpanii załatwić. I tak się umówiono, że on pozałatwia ich sprawy, kiedy się poczuje lepiej na zdrowiu, i że potem uda się do Wenecji, gdzie będzie na nich czekał.

86. Był to rok 1535. Według umowy towarzysze mieli wyruszyć w drogę w r. 1537 w dniu nawrócenia św. Pawła. Ale na skutek wojny, która wybuchła, wyruszyli w listopadzie roku 1536.

Kiedy Pielgrzym miał już udać się w podróż, dowiedział się, że na niego doniesiono do inkwizytora i że ma być wytoczony proces przeciw niemu. Dowiedziawszy się o tym i widząc, że go nie pozywają, poszedł sam do inkwizytora (koniec III 1535), powiedział mu to, o czym się dowiedział i dodał, że właśnie chce wyruszyć do Hiszpanii i że ma towarzyszy. Prosił go też, żeby zechciał wydać wyrok w jego sprawie. Inkwizytor odpowiedział mu, że jeśli chodzi o doniesienie, to tak i było, ale nie uważał tego za sprawę poważną. Chciał tylko widzieć jego pisma zawierające Ćwiczenia. Kiedy je przejrzał, pochwalił je bardzo i prosił Pielgrzyma, żeby mu dał ich odpis. Tak też się stało. Ale Pielgrzym zaczął na nowo nalegać na inkwizytora, ażeby przeprowadził proces aż do wyroku. A kiedy inkwizytor uchylał się od tego, przyszedł do jego domu z notariuszem publicznym i świadkami, i polecił sporządzić protokół z całej tej sprawy.

IX. POWRÓT DO OJCZYZNY (kwiecień – październik 1535)

87. Po załatwieniu tej sprawy dosiadł Pielgrzym małego konika, którego mu kupili towarzysze, i samotnie wyruszył (początek IV 1535) do swej ojczyzny. W drodze poczuł się dużo lepiej. Przybywszy do swej prowincji zjechał z głównej drogi i ruszył drogą przez góry, która była bardzo odludna. Ujechawszy kawałek drogi spotkał dwóch zbrojnych ludzi, którzy jechali w jego kierunku. (Droga ta miała trochę złą sławę z powodu grasujących tam morderców). Ludzie ci, kiedy go minęli, zawrócili zaraz i jechali za nim z pośpiechem, tak że zaczął się trochę bać. Przemówił jednak do nich i dowiedział się, że byli sługami jego brata, który ich wysłał na jego spotkanie. Zdaje się bowiem, że z Bajonny, gdzie Pielgrzyma poznano, otrzymał wiadomość o jego przybyciu. Słudzy ruszyli przodem, a on podążył za nimi tą samą drogą. Na krótko przed przybyciem do posiadłości rodzinnej natknął się znów na nich. Wyszli na jego spotkanie i usilnie nalegali nań, aby się dał zaprowadzić do brata. Ale nie zdołali go do tego przymusić. Udał się więc do szpitala, a potem w porze odpowiedniej dlań poszedł żebrac w okolicy.

88. W tym szpitalu zaczął mówić o rzeczach Bożych z wieloma osobami, które przychodziły go odwiedzić, i dzięki łasce Bożej przynosił wiele owoców. Zaraz też od chwili swego przybycia postanowił nauczać codziennie dzieci katechizmu. Ale jego brat sprzeciwiał się temu bardzo, twierdząc, że nikt nie przyjdzie. On mu na to odpowiedział, że wystarczy mu i jedno dziecko. Ale od początku, jak zaczął te nauki, wiele ludzi przychodziło go słuchać, a nawet i jego brat. Oprócz

katechizmu głosił kazania w niedziele i święta z pożytkiem i pomocą dla dusz; nawet z miejscowości odległych o wiele mil schodzili się ludzie, aby go słuchać. Starał się także usunąć niektóre nadużycia i z pomocą Bożą w niejednym zaprowadził ład. Na przykład osiągnął to, że gry hazardowe zostały zakazane pod karą, przekonał bowiem o konieczności takiego zarządzenia urzędnika stojącego na czele wymiaru sprawiedliwości. Było tam także i inne nadużycie. Dziewczeta tego kraju chodzą zawsze z odkrytą głową i nie zakrywają jej aż do wyjścia za mąż. Ale jest wiele takich, które będąc nałożnicami księży lub innych mężczyzn dochowują im wiary, jakby były ich żonami. I jest to tak powszechne, że nałożnice te nie wstydzą się mówić, że z powodu tego lub innego mężczyzny noszą nakrycie głowy (choć wszyscy wiedzą, że są konkubinami).

89. Z tego zwyczaju płynie wiele zła. Pielgrzym nakłonił więc gubernatora prowincji do wydania dekretu, na mocy którego każda kobieta, która nosiłaby nakrycie głowy z powodu jakiegoś mężczyzny nie będąc jego żoną, byłaby karana sądownie. W ten sposób nadużycie to zaczęło znikać. Postarał się też o wydanie odpowiedniego zarządzenia na rzecz biednych, aby publicznie i według pewnego regulaminu niesiono im pomoc w potrzebach. Ztroszczył się także i o to, aby trzy razy dziennie dzwoniło na Anioł Pański – rano, w południe i wieczorem, a to w tym celu, by lud modlił się, jak to jest w zwyczaju w Rzymie.

Chociaż z początku czuł się bardzo dobrze, potem jednak rozchorował się ciężko. A kiedy wyzdrowiał, postanowił ruszyć w drogę, aby pozatapiać sprawy poruczone mu przez jego towarzyszy. Podróż tę chciał odbywać bez pieniędzy, co bardzo rozgniewało jego brata, który czuł się upokorzy tym, że chciał podróżować pieszo. Pod wieczór Pielgrzym ustąpił bratu o tyle, że aż do granic prowincji pojedzie konno z bratem i ze swoimi krewnymi.

90. Ale kiedy wyjechał poza granice prowincji, zsiadł z konia i nie przyjąwszy niczego udał się w stronę Pampeluny. Stamtąd przybył do Almazanu, rodzinnych stron ojca Layneza, następnie do Siguenzy, a potem do Toledo, z Toledo zaś do Walencji. We wszystkich tych stronach ojczystych swych towarzyszy nie chciał niczego przyjąć, chociaż ofiarowano mu wiele darów nalegając usilnie o ich przyjęcie.

W Walencji miał rozmowę z Castro, który był tam mnichem kartuskim. Potem kiedy chciał wsiąść na okręt płynący do Genui, życzliwi mu ludzie w Walencji prosili go, żeby tego nie czynił, ponieważ korsarz Barbarossa, jak chodzący pogłoski, grasuje po morzu z wieloma galerami itd. I chociaż opowiadano mu wiele takich rzeczy, które mogły napętnić go strachem, to jednak żadna z tych rzeczy nie wzbudziła w nim nawet wahania.

91. Wsiadł więc na wielki okręt i przeżył burzę, o której była już wyżej wzmianka, kiedy była mowa o tym, że trzykrotnie znajdował się w bezpośrednim niebezpieczeństwie śmierci. Przybywszy do Genui udał się w drogę do Bolonii. Bardzo wiele nacierpiał się w tej podróży, zwłaszcza raz, kiedy zgubił drogę i zaczął iść tuż nad rzeką płynącą w dole, ścieżka zaś wiodła w górę. Im dłużej szedł, tym bardziej ścieżka stawała się stroma i wąska aż do tego stopnia, że nie mógł już dalej ani iść, ani zawrócić. Zaczął więc czołgać się i uszedł tak dobry kawał drogi z wielkim strachem, ponieważ przy każdym ruchu zdawało mu się, że spadnie do rzeki. Było to największe jego zmęczenie i największy wysiłek fizyczny, jakiego kiedykolwiek doznał. Ostatecznie jednak wyszedł stamtąd. A kiedy chciał wejść do Bolonii, musiał przejść przez małą kładkę drewnianą i spadł z niej, budząc śmiech u wielu, którzy tam byli obecni, kiedy podnosił się cały mokry i

obłocony. Zaraz po wejściu do Bolonii zaczął żebrać, ale nie otrzymał ani jednego kwadrana, choć przeszedł całe miasto. Przez jakiś czas chorował w Bolonii, potem udał się do Wenecji, odbywając drogę zawsze w ten sam sposób.

X. OCZEKIWANIE W WENECJI (1536- 1537)

92. W Wenecji Pielgrzym był w tym czasie zajęty daniem Ćwiczeń i innymi rozmowami duchownymi. Najbardziej wybitne osoby, którym udzielał Ćwiczeń, były następujące: Magister Piotr Contarini, magister Kasper de Doctis, oraz pewien Hiszpan nazwiskiem Rossas. Był tam też inny jeszcze Hiszpan, który zwał się Hoces. Przestawał on często z Pielgrzymem, a także z biskupem z Ceuty. I chociaż miał on trochę ochoty na odprawianie Ćwiczeń, to jednak nie podejmował się tego. Ostatecznie postanowił przynajmniej je zacząć. Potem po trzech lub czterech dniach Ćwiczeń wyjawiał on Pielgrzymowi swoje uczucia. Wyznał mu swój lęk, aby go w Ćwiczeniach nie nauczono jakiejś błędnej nauki, bo ktoś mu tak o tym opowiadał. I dlatego przyniósł z sobą pewne książki, aby się do nich uciekać, gdyby go chciano w błąd wprowadzić. Odprawił on jednak Ćwiczenia z wielkim dla siebie pożytkiem i w końcu zdecydował się naśladować rodzaj życia Pielgrzyma. On też był tym, który umarł pierwszy z wszystkich towarzyszy.

93. W Wenecji miał Pielgrzym do zniesienia inne jeszcze prześladowanie, ponieważ było tam dość ludzi, którzy twierdzili, że został on w Hiszpanii i w Paryżu spalony na stosie *in effigie*. Sprawa zaszła tak daleko, że przeprowadzono proces, a wyrok wypadł na korzyść Pielgrzyma.

Dziewięciu jego towarzyszy przybyło do Wenecji z początkiem roku 1537. Tu podzielili się na grupki, ażeby służyć w różnych szpitalach. Po dwóch lub trzech miesiącach udali się wszyscy do Rzymu, aby otrzymać błogosławieństwo na podróż do Jerozolimy; tylko Pielgrzym nie poszedł, a to z powodu obawy przed doktorem Ortizem i nowomianowanym kardynałem Teatynem. Towarzysze wrócili z Rzymu niosąc przekaz na 200 lub 300 dukatów, które im dano jako jałmużnę na przejazd do Jerozolimy. Oni jednak nie chcieli ich wziąć, chyba tylko w formie przekazu. Potem nie mogąc udać się do Jerozolimy zwrócili je tym, od których je otrzymali.

Towarzysze wrócili do Wenecji tak samo, jak z niej wyruszyli, to znaczy pieszo i żebrząc, ale podzieleni na trzy grupy w taki sposób, że zawsze byli razem przedstawiciele różnych narodowości. W Wenecji ci, co nie byli kapłanami, otrzymali święcenia kapłańskie, a pozwolenia na to udzielił im nuncjusz papieski w Wenecji, późniejszy kardynał Verallo. Wszyscy zostali wyświęceni *ad titulum paupertatis*, złożwszy śluby czystości i ubóstwa.

94. Tego roku (od 25 VII) nie odpływały okręty na Wschód, bo Wenecjanie zerwali stosunki z Turkami. Widząc, że nadzieja przejazdu oddala się od nich, rozeszli się po terytorium weneckim z zamiarem wyczekiwania przez rok, jak to było postanowione. Jeżeli termin ten upłynie i nie będą mieli możliwości przejazdu, udadzą się do Rzymu.

Pielgrzymowi wypadało wędrować z Favrem i Laynezem do Vicenzy (koniec lipca 1537). Tam znaleźli poza miastem pewien dom bez drzwi i okien. Spali w nim na garści słomy, którą sobie przynieśli. Dwaj z nich chodzili zawsze żebrać w mieście dwa razy dziennie, lecz przynosili tak mało, że prawie nie mogli się z tego utrzymać. Zazwyczaj jedli trochę chleba ugotowanego w wodzie, jeśli go mieli, ten zaś z nich, którzy pozostawał w domu, zajmował się gotowaniem. W ten sposób spędzili tam 40 dni poświęcając się tylko modlitwie.

95. Po upływie tych 40 dni przybył do nich magister Jan Codure i wszyscy postanowili zabrać się do głoszenia kazań. Szli więc wszyscy czterej na różne place miasta i tam w tym samym dniu i o tej samej godzinie zaczęli swoje kazania, krzycząc na początku bardzo głośno i zwołując ludzi wymachiwaniem czapką. Te kazania narobiły dużo szumu w mieście. Wiele osób dało się pociągnąć do pobożności, oni zaś mieli obfitość wszystkiego, co jest potrzebne dla ciała.

Podczas tego okresu, gdy był w Vicenzy, inaczej niż to było w Paryżu, miał Pielgrzym wiele wizji duchowych i wiele – i to prawie stale – pociech. Szczególnie zaś, kiedy zaczął się przygotowywać do kapłaństwa i do odprawienia mszy świętej; we wszystkich też tych podróżach otrzymał wielkie łaski nadprzyrodzone, podobne do tych, jakie miewał zwyczajnie w Manresie.

Kiedy jeszcze przebywał w Vicenzy, dowiedział się, że jeden z towarzyszy, który znajdował się w Bassano, był śmiertelnie chory. W tym czasie on sam też był chory na febrę. Niemniej puścił się w drogę i szedł tak szybko, że Favre, jego towarzysz, nie mógł za nim nadążyć. W czasie tej podróży (koniec VIII 1537) otrzymał od Boga zapewnienie i wyjawiał je Favrowi, że ten chory towarzysz nie umrze z tej choroby. I kiedy przybyli do Bassano, chory doznał wielkiej pociechy i szybko wyzdrowiał.

Potem wrócili wszyscy do Vicenzy i przez pewien czas pozostawali tam wszyscy w liczbie dziesięciu. Niektórzy z nich chodzili prosić o jałmużnę po wioskach w okolicy Vicenzy.

96. Potem kiedy skończył się ten rok, a podróż do Palestyny okazała się niemożliwa, postanowili udać się do Rzymu; także i Pielgrzym razem z nimi, ponieważ poprzednim razem, gdy towarzysze poszli do Rzymu, tamte dwie osoby, których się obawiał, okazały się im bardzo życzliwe. Szli do Rzymu podzieleni na trzy lub cztery grupy (koniec X 1537). Pielgrzym szedł z Favrem i Laynezem i podczas tej drogi Bóg szczególnie go nawiedzał.

Po przyjęciu święceń kapłańskich postanowił, że przez rok nie będzie odprawiał mszy św., przygotowując się do niej i prosząc Matkę Najświętszą, aby go chciała przyłączyć do swego Syna. Pewnego dnia (ok. 15 XI 1537) gdy był w pewnym kościele o kilka mil od Rzymu i modlił się, poczuł taką zmianę w duszy i ujrzał z tak wielką jasnością, że Bóg Ojciec przyłączył go do swego Syna Jezusa Chrystusa, iż nie odważyłby się nigdy wątpić o tym, że Bóg Ojciec przyłączył go do swego Syna.

A ja, który piszę te rzeczy, powiedziałem do Pielgrzyma, kiedy mi to opowiadał, że Laynez, – według tego, co słyszałem – opowiadał to z innymi jeszcze szczegółami. A on mi odrzekł, że, wszystko co mówił Laynez, było prawdziwe, bo on sam już nie pamięta tego w szczegółach; ale pewny jest, że wtedy kiedy to opowiadał, mówił tylko prawdę. To samo powiedział mi też i co do innych rzeczy.

97. W tej drodze do Rzymu powiedział do swoich towarzyszy, że widział okna zamknięte, przez co chciał im dać do poznania, że będą mieli do zniesienia wiele przeciwności. Dodał także: „Trzeba żebyśmy się mieli na baczności i nie nawiązywali rozmów z niewiastami, chyba tylko z bardzo wybitnych rodzin”. Żeby w tej sprawie coś jeszcze dodać, to Magister Franciszek Ksawery spowiadał w Rzymie pewną niewiastę i odwiedzał ją kilka razy, aby z nią rozmawiać o rzeczach duchownych, a potem wyszło na jaw, że ona jest w ciąży. Ale Pan nasz zechciał sprawić, że

wykryto tego, który dopuścił się tej niegodziwości. Coś podobnego przydarzyło się też Janowi Codurowi z jedną jego córką duchowną, którą przyłapano z jakimś mężczyzną.

XI. U CELU PIELGRZYMKI – RZYM (od grudnia 1537)

98. Z Rzymu udał się Pielgrzym do Monte Cassino, aby udzielić Ćwiczeń Duchownych doktorowi Ortizowi (W. Post 1538). Pozostał tam przez 40 dni i w tym czasie widział bakalarza Hocesę idącego do nieba. Wylał z tego powodu wiele łez i doznał wielkiej pociechy duchowej. A widział go tak jasno, że gdyby twierdził coś przeciwnego, miałby wrażenie, że kłamie. Z Monte Cassino przyprowadził z sobą Franciszka Estradę.

Po powrocie do Rzymu zajmował się niesieniem pomocy duszom. On sam i towarzysze mieszkali wtedy jeszcze w winnicy. Dawał zaś Ćwiczenia różnym osobom w tym samym czasie. Jedna z nich mieszkała przy kościele Matki Boskiej większej, druga zaś przy Moście Sykstusa.

Potem zaczęły się prześladowania (VI – XI 1538). Najpierw Michał zaczął sprawiać kłopoty Pielgrzymowi i rozgłaszać o nim złe wieści. Pozwał go więc Pielgrzym przed gubernatora miasta, pokazawszy uprzednio gubernatorowi list tegoż Michała, w którym on bardzo chwalił Pielgrzyma. Gubernator przeprowadził śledztwo w sprawie Michała i sprawa zakończyła się wygnaniem go z Rzymu.

Potem Mudarra i Barreda zaczęli go prześladować, głosząc, że Pielgrzym i jego towarzysze zostali wygnani z Hiszpanii, z Paryża i Wenecji. Ostatecznie w obecności gubernatora miasta i legata, który był wtedy w Rzymie, obaj zeznali, że nie mają nic do zarzucenia towarzyszom, ani co do obyczajów, ani co do nauki. Legat nakazał, aby cała ta sprawa była uważana za skończoną i pominięta milczeniem. Ale Pielgrzym nie zgodził się na to, mówiąc, że żąda ostatecznego wyroku. To nie podobało się legatowi ani gubernatorowi, ani tym nawet, którzy z początku byli życzliwi Pielgrzymowi. Parę miesięcy później papież wrócił do Rzymu. Pielgrzym udał się do niego do Frascati i przedstawił mu niektóre racje swego postępowania. Papież dał się przekonać i rozkazał wydać wyrok, który wypadł na korzyść Pielgrzyma itd.

Z pomocą Pielgrzyma i towarzyszy założono w Rzymie kilka dzieł pobożnych jak Dom Katechumenów, Dom św. Marty, Dom Sierot i inne.

Inne rzeczy może opowiedzieć Magister Nadal.

Ostatnie zwierzenia

99. Kiedy Pielgrzym już opowiedział te rzeczy, zapytałem w dniu 20 października (1555) w sprawie Ćwiczeń Duchownych i Konstytucji, pragnąc dowiedzieć się, jak je napisał. On mi na to odpowiedział, że Ćwiczeń nie ułożył całych za jednym razem, ale kiedy zauważył pewne rzeczy w swej duszy, które wydawały mu się pożyteczne, a zdawało mu się, że będą pożyteczne i dla innych, wtedy notował je, na przykład rachunek sumienia przy pomocy linii itd. W szczególności powiedział mi, że zasady wyboru w Ćwiczeniach zaczerpnął z tej różnorodności duchów i myśli, których doświadczył w Loyoli, kiedy był chory na nogę. Dodał też, że o Konstytucjach opowie mi wieczorem.

Tegoż samego dnia przed kolacją wezwał mnie do siebie, a miał wyraz twarzy człowieka, który jest bardziej skupiony niż zwykle, i uczynił mi pewnego rodzaju wyznanie, którego główna treść zmierzała do tego, żeby zaświadczyć o prostocie i szczerości intencji, z jaką opowiadał o tych

rzeczach. Dodał też, że jest pewny, iż w niczym nie przesadził. Wiele obraził Pana naszego, odkąd zaczął mu służyć, ale nigdy nie pozwolił na grzech śmiertelny. Przeciwnie, zawsze wzrastał w pobożności to jest w łatwości znajdowania Boga, a teraz więcej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Za każdym razem i o każdej porze kiedy tylko chce Boga znaleźć, znajduje go. Teraz także miewał jeszcze wiele razy dziennie widzenia, zwłaszcza te, o których była wyżej mowa, a mianowicie widzenie Chrystusa jakby pod postacią słońca. To mu się zdarzało często, gdy mówił o rzeczach wielkiej wagi i uważał to za potwierdzenie ze strony Boga.

100. Kiedy odprawiał mszę św., miał także dużo wizji. Tak samo podczas układania Konstytucji, miewał je bardzo często. A teraz może to tym łatwiej twierdzić, ponieważ codziennie zapisuje to, co się dzieje w jego duszy; teraz też ma te zapiski przed sobą. I pokazał mi bardzo duży plik notatek, z których przeczytał mi dość dużą część. Dotyczyły one po większej części wizji, które miał na potwierdzenie niektórych spraw w Konstytucjach. Widział już to Boga Ojca, już to trzy Osoby Trójcy Świętej, już to Matkę Boską, która wstawiała się za nim lub innym razem umacniała go.

Szczególnie mówił mi o pewnej rzeczy, nad którą rozważał przez 40 dni odprawiając codziennie mszę św. i za każdym razem z obfitością łez. Chodziło mianowicie o to, czy kościoły Towarzystwa mają mieć jakieś dochody i czy Towarzystwo może z nich korzystać.

101. Jego sposób postępowania podczas układania Konstytucji był taki, że codziennie odprawiał mszę św. i przedstawiał Bogu dany punkt, nad którym wtedy pracował, i modlił się w tej sprawie. A zawsze modlił się i odprawiał mszę św. ze łzami.

Chciałem widzieć wszystkie te zapiski odnoszące się do Konstytucji i prosiłem go, żeby mi je zostawił na jakiś czas, lecz on nie chciał.

Chwała Chrystusowi Ukrzyżowanemu!